

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 24 września 1961 r.
Nr 38 (186) Cena 1 zł

Odgłosy Tygodnia na str. 12



Fot. A. Kobyliński

STEFAN MICHAŁOWSKI

„Chodzi im tylko o forszę...”

Tygodnik „Time” jest to ogromnie popularny amerykański magazyn typu „all purposes”: znaczy to, iż jego stały czytelnik może się obejść bez dodatkowej lektury prasy specjalnej: z „Time’u” dowie się o wszystkim: i o problemach politycznych, i o sytuacji gospodarczej, a także sprawach sztuki, wyczynach w sporcie, czy sporach religijnych wciąć tak istotnych dla przeciętnego Amerykanina.

Wiedząc o tych sprawach oferuje mu ten uniwersalny tygodnik w formie szczególnej: jest to niejako wędrująca w pigułkach, wiadomości skoncentrowane do samej kwintesencji — oczywiście zgodnej w swym duchu z aktualnie obowiązującym w całej prasie amerykańskiej tzw. „obywatelskim stanowiskiem”.

Szczególnie sprawy międzynarodowe są z zasady omawiane zgodnie z oficjalną polityką zagraniczną Białego Domu. Zresztą — jak zawsze w prasie amerykańskiej — sprawy te nie dominują, przestania je

mnóstwo problemów praktycznych, związanych z aktualnymi kłopotami zatrudnienia i krzywej produkcji, a także ze sprawami giełdy i z nieustannymi przetargami, jakie business wiecie z ruchem zawodowym.

Tak więc „Time” na pierwszy rzut oka nie wydaje się właściwym źródłem dla polskiego czytelnika, który chciałby wyrobić sobie pogląd o reakcjach amerykańskiej opinii publicznej na drastyczną sytuację międzynarodową chwili obecnej. Jest zbyt szablony, zbyt „urobiony”.

Przecież jednak i na tym oficjalnym gładkim — chciałoby się powiedzieć — nieskazitelnym obliczu politycznym tygodnika można dostrzec pewną drobną ska-

Dokończenie
na str.

2

Chłopcy i dziewczęta czyli granice swobody na str. 4



WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

ZMIERZCH tramwajarskiej KOMUNY

1.

Korei mnie, korei aby rozpocząć kalamburem na przykład „Sporo sikawy w Sikawie”. Dzielnica Łodzi, nosząca owe wodolejne miano, jest bowiem siedziba oddziału (choć nie strażnicy pożarnej). Fakt ten pozornie tak blachy niegodny jest poematu, w swych skutkach jednak okazał się główną przyczyną dramatu. Powyższego zdania nie ujmuję w cudzysłowy. Bard Łodzi wybaczyłby mi zapewne ten mały plagiacki w zamian za nieocenioną informację, iż od lat wielu Sikawa żyje pod terrorem sikaw. Problem la-czy sławetny skandal w Clochemerle ze skandalem na peryferiach Wielkiej Łodzi.

2.

Gdzieś tak pod koniec trzeciego dziesięciolecia naszego wieku w miejscu, w którym dziś rozprzestrzenia się ulice o nazwach niezbyt adekwatnych do blaskiego nazorka: „Taternicza”, „Janosika”, „Morskie Oko”, „Strążyńska” — kłó i marniał geowowski folwarczek, zniszczony ogniem dział cesarza Wilusa podczas pierwszej wojny światowej. Jedną ze spółkobierczyń starego tkacza Anna Helena Geyer, straciła już wszelką nadzieję, że kiedykolwiek zdola wyciągnąć trochę brzezacej monety z piaszczysto-błotnistego zasłania, gdy oto szczęśliwy wiatr, który bogatym zwykło wiele w plecy, przyniósł jej wymarzonego kontrahenta. Tramwajarskie stowarzyszenie oświatowe „Książka” podjęło inicjatywę założenia kolonii domków jednorodzinnych dla swoich adherentów. Miejsce akurat pasowało: nie za blisko, na odwiecznej, czasem tylko trochę smrodu z Widzewskiej Manufaktury. Nie za daleko, ledwie 5-6 kilometrów od śródmieścia. Na pagórku, wokół pięknego parku liściastego. No i niedrogo.

Chętnych wśród tramwajarzy było wielu: z 540 działek wytyczonych przez mierniczego, tylko drobna część dostała się w ręce osób spoza komunikacyjno-miejskiej rodziny. Pani Anna Helena, byle tylko nie sokołzwać dawno wymarzonego klientowi przystąpiła na dogodne warunki: na paroletni-ny spłaty. W 1930 roku roz-

poczęła się intensywna rozbudowa tramwajarskiej komuny.

Słowa „komuna” używam roznymnie. Oczywiście, nie wszyscy, a nawet nie większość, być może tylko mała grupa spośród osiadłych tutaj tramwajarzy nosła legitymacje partynne. Było naturalnie faktem dobrze znanym „Defensywie”, że komuniści poprzez Związek klasowy mają duże wplywy w stowarzyszeniu „Książka”. Nie w tym jednak istota sprawy. Na Sikawie nader szybko okrzepła jedność, nazwimy ją: esesdżka. Pepeesowcy, komuniści, a nawet „luzacy” zawarli jakby eicha niepisana umowę: polityka — w zakładach pracy, tu domowa przystań z ogródkiem regenerującym zdrowie i siły.

Ale gdy owa solidarność stała się faktem, poszła za nią dalsza integracja. Najpierw o gospodarczym podłożu: wspólna praca, wspólne zakupy, budulca, nasion i nawozów, węzła — zawsze to taniej wynosiło, niż indywidualne kurno od detalicznych handlarzy. Wspólne przedsięwzięcie komunalne poczyniało od dojazdu i zakupiona za bezcen stara konna karetka pogotowa przekształcona w efektywny omnibus, kursowała pod batem Brzozowskiego z niezbyt im-

ponującą szybkością, ale za to nader punktualnie — w przeciwieństwie do dzisiejszych autobusów, wykazujących niekiedy niezrozumiałe dla motorów instynktu stadne.

Za sprawą bytu — sprawa świadomości. Założone na Sikawie stowarzyszenie Własciciel Nieruchomości, wbrew swojej burżuazynowej nazwie, miało niemałe zasługi dla tu-tejszej społeczności w dziele upowszechnienia „światu”. Do biblioteki tęczkami zwożono książki, zawałające strychy i komórki sikawian. Ze kładek dokupywano nowości. Nad podziw rozwijała się akcja czytowa. Wytwarzało się poczucie lokalnego patriotyzmu, do dziś dnia żywe. Kiedy przy nowo zbudowanej szkole podstawowej ukonstytuowało się koło rodzicielskie, jego uczestnicy wymogli, aby do tekstu urzędowej nieczatki dodać: „W Łodzi — Sikawie”.

Nie bez znaczenia dla roz-

Dalszy ciąg
na str. 5



KAROL BADZIAK

ZBÓJCA z kapliczką w mieszkaniu

Wydaje mi się, że nie trudno odpowiedzieć na takie pytanie: czy można z góry przewidzieć, jaki człowiek prędzej czy później wejdzie w kolizję z prawem? Jeśli przyjmemy, że postępowanie jednostki ludzkiej jest wynikiem jej światopoglądu, jej określonych zasad etycznych, to, sądząc, lepiej będzie jeśli felietonista sądowy skupi się raczej na biografii i sposobie myślenia przestępcy niż na wyrażaniu racji prawnych. Prawo jest domeną sądów, moralność obowiązkową strefą działalności pisarza. Pisarz który o tym nie pamięta szybko jest zapomniany.

Przestępstwo jest w pewnym sensie (poza wyjątkowymi wypadkami) przedłużeniem przestępnego myślenia. Interesują mnie te postawy życiowe, które w konsekwencji muszą doprowadzić do przekroczenia jednego z wielu paragrafów kodeksu karnego. Bo nie istnieją przecież jakas wymagowana idea przestępstwa, istnieją natomiast różne inne bardzo osobiste idee, które na pozór nie wspólnego z przekroczeniem prawa nie mają a jednak w końcu do tego prowadzą. Przestępca nie rodzi się, lecz nim zostaje człowiek, który siedzi na ławie oskarżonych, nie wskoczył tam prosto z głowy Zeusa. Zaprowadziły go na to miejsce jego przekonania moralne, a właściwie brak jakiegokolwiek przekonania.

Istnieją właściwie dwie generalne przyczyny działalności przestępnej człowieka — chęć osiągnięcia korzyści materialnej i chęć osiągnięcia satysfakcji w strefie moralnej. Pierwszą opisał Dostojewski, drugą Szek-

Dalszy ciąg
na str. 2



Strauss i Adenauer. Chcieliby nam zagrać wojennego marsza?

„CHODZI IM TYLKO O FORSE...”

Dokończenie ze str. 1

ze: oto „Time” jeszcze z liberalnych czasów rooseveltowskich wyniósł zwycięstwo publikowania listów do redakcji. Jest ich sporo, zajmują na prawach subskrypcyj parę szpalt tej części pisma, która w całości przeznaczona jest na reklamy. Czytelnicy pisma piszą do redakcji o wszystkim: o meczu base-ballu, swoich wątpliwościach religijnych, wrażeniach z podróży, problemach ekonomicznych — i w proporcji badają najmniejszej — o sprawach polityki zagranicznej. Są to notatki, parę zdań skróconych zazwyczaj w pospiechu — i zapewne wszystko to nie zasługiwałoby na uwagę, gdyby nie fakt, iż właśnie tam i chyba tylko tam możemy wyczytać co o ryzykanckiej polityce zagranicznej swego rządu myśli tak zwany szary człowiek.

I tak na przykład w odpowiedzi na oficjalną propagandę, która rozwodzi się szeroko na temat „heroicznej” odwagi z jaką prezydent Kennedy działa na arenie międzynarodowej pani Hellen Francis z Hays w Kansas pisze do redakcji:

„Byłoby lepiej, gdyby prezydent Kennedy znalazł sobie jakieś niezwykłe hobby (powiedzmy na przykład skoki spadochronowe). Niechby udowodnił swą odwagę osobistym ryzykiem — a nie angażowaniem w tę grę losu całej naszej cywilizacji”.

Pani M. Wisheu z Ojai w Kalifornii pisze:

„Czy to nie przerażające, że paru ludzi na górze decyduje o losie milionów? Ale nich ci na górze wiedzą, że nie jesteśmy aż tak głupi by nie spostrzec, że chodzi im tylko o forse, władzę i sprawy prestiżowe. I dla tych trzech rzeczy są oni gotowi na wszystko — nie wahają się poświęcić milionów ludzkich egzystencji. A przecież i tak żaden z nich na tym nie nie zyska”.

Tak emocjonalne wypowiedzi wychodzą nie tylko spod pióra kobiet. John R. Burroughs z Stambaat Springs Colorado pisze na temat wydarzeń ostatnich miesięcy:

„Panie redaktorze. To prawdziwa ekshumacja Hermana Goeringa! Jeszcze tylko dajcie panu Straussowi broń nuklearną, a już on wam zagra niemiecki wojenny marsz! Mówię to jako człowiek, który dobrze zna Niemców: byłem bowiem ich jeńcem wojennym”.

Francis L. Marin z Alexandria ze stanu Wisconsin pyta w swym liście: „Czy naprawdę zapomnieliśmy już, że to Niemcy rozpoczęli tę straszną woj-

nę, że ją przegrali? I czy naprawdę warto co dnia nich ryzykować? Osobiście nie mnie nie obchodzi ta cała chryja w Berlinie. I jestem pewny, że tak jak ja, myśli w gruncie rzeczy większość naszych współrodaków”.

A oto list M. H. Shagama w Kalifornii.

„Panie redaktorze! Mam nadzieję, że ta nasza nowa „sztywna” polityka — to tylko przejściowe zjawisko. Jest na pewno mnóstwo spraw, o których w kwestii Berlina można i trzeba dyskutować: zresztą kwestia Berlina związana z istotnym bezpieczeństwem europejskim, będzie zagrażać pokojowi w Europie, póki jej się nie rozwiąże, a za uznanie naszych praw możemy i powinniśmy przecie zmienić nasz stosunek do postulatów tamtej strony. Granica na Odrze i Nysie, uznanie państwa wschodnio-niemieckiego, uznanie całych Niemiec za strefę bezatomową i wreszcie zrezygnowanie z działalności wywiadowczej i propagandowej — to wszystko ustępstwa, które na pewno niczym nam nie zagrażają”.

A. P. M. Minch z Hobart wrecz proponuje: „A jeśli by z Berlina zachodniego uczynić zdemilitaryzowaną siedzibę główną Narodów Zjednoczonych? Może by to rozładowało atmosferę?”

Pani Rosemary i pan Howell Ewans zwrócili się do redakcji z obszernym listem, z którego cytuję tylko fragment:

„W obu wojnach światowych bomby nie padły na Stany Zjednoczone. Stał może i inny nasz stosunek do niebezpieczeństwa wojny. A przecież i tak każdy z nas widzi bezsens takiej polityki, która mogłaby w sprawie Berlina doprowadzić do wojny. Będziemy natomiast podziwiali nasz rząd jeśli doprowadzi do pokojowej koegzystencji ze Wschodem. Można to osiągnąć tylko cierpliwością, zrozumieniem, pertraktacjami. Nigdy groźbami”.

Listy do redakcji nadsyłają i czytelnicy zagranicą. Te często pełne są gorzkiej ironii. I tak na przykład, Maria Garcia z Madrytu pisze:

„Szanowny panie redaktorze! Często tu omawiamy niepowodzenia Stanów Zjednoczonych — w czasie takiej właśnie rozmowy jeden z moich znajomych powiedział, że Franco dlatego wygrał wojnę domową, bo na jego szczęście — tych paru Amerykanów, co w niej walczyło, zaangażowało się po stronie republikańskiej”.

Garsz przytoczonych wypowiedzi to ledwie część opublikowanych listów do redakcji w ostatnich tylko numerach „Time’u”. Lektura ich wydaje się napawać optymizmem. To przecież poglądy bliskie nam — i oparte na zdrowym rozsądku. Oby on zwyciężył!

STEFAN MICHAŁOWSKI

ZBÓJCA z KAPLICZKĄ w MIESZKANIU

Dalszy ciąg
ze str. 1

pir. Oczywiście, pisarze ci zajęli się granicznymi przypadkami wykroczeń przeciwko ogólnemu pojęciu sprawiedliwości — zabójstwami. Śmierć wstrząsa sumieniem, kradzież budzi tylko niepokój. Bohater Dostojewskiego zabijał dla pieniędzy, bohaterowie Szekspira mordowali z uczuć pochodnych od miłości. Bohaterowie łódzich sądów rzadko mordują. Natomiast najczęściej dokonują przestępstw wynikających z nadmiernego umiłowania pieniądza. No cóż, musi istnieć jakaś różnica między literaturą a życiem.

Typowym przykładem nadmiernej wiary człowieka w pieniądź był proces Mariana Pokrzywy. Wiara w moc brzącającej monety zaprowadziła go na ławę oskarżonych. Żanin jednak Pokrzywa odizolowany został od społeczeństwa na te swoje siedem lat chudych przeżył po trzykroć siedem lat tłustych.

Dnia 9 i 10 marca 1958 roku we wrocławskim dzienniku „Słowo Polskie” znalazła się w dziale ogłoszeń następująca oferta:

„40 ha ziemi z dużym zabudowaniem mrowianym w okolicy Łodzi sprzedam za sumę 350 tys. zł, ul. Północna 36 m. 5 róg ulicy Sterlinga, u Dziedzińskiego”.

W jakimś czasie potem odwiedził pana Dziedzińskiego Konstanty Rząsa i Stanisław Stokłos, rolnicy z wrocławskiego. Dziedziński okazał się jednak Pokrzywą. A jak wiadomo pokrzywa troćka niebezpieczna, w zetknięciu z nią można się poparzyć.

Ale — dlaczego Dziedziński? Otóż ogłoszenie ukazało się pod tym nazwiskiem — wytłumaczył im Pokrzywa — ponieważ właściciel, czyli on sam, pochodzi z dziedziców, z dziada pradziada. Ale został rozparcelowany przez komunistów i teraz nazywa się Pokrzywa na znak, że jest prześladowany. Logicznie to nie było, ale Konstantemu Rzasie i Stanisławowi Stokłosowi udało się do majątku Charzew prowadzonego przez Samopomoc Chłopską. Rząsa trochę nieufnie spoglądał na gospodarstwo, to na pana dziedzica, ale Pokrzywa pokazał mu papier z pieczęcią notariusza i dodał:

„Jak tylko wpłacimy pieniądze do tych użytkowników zaraz się usunie”.

Ponieważ Konstanty Rząsa i jego znajoma do ludzi prości, nieobeznani z urzędowymi dokumentami i bał się jakiegoś oszustwa, więc dziedzic zaprosił ich ponownie do swego mieszkania. Zapalił świecę przed obrazem Matki Boskiej i złożył następującą przysięgę:

„Zaklinam się na wiarę swoich przodków dziedziców i na swoje najukochańsze dzieci, że jestem człowiekiem rzetelnym i że gospodarstwo jest moją własnością. Cenię was panowie chłopcy i wierzę, że ziemia ta oddana zostanie w dobre ręce polskich kmiotów, którzy korzeniami wrosli w ziemię i tej ziemi samemu diablui nie dadzą sobie wydrzeć z garści”.

Przysięga poskutkowała 220 tys. zł przepłynęło do kieszeni dziedzica. Kiedy niefortunni kupcy zorientowali się, że zostali oszukani, zagrozili Pokrzywie, że sprawę oddadzą w ręce prokuratora. Ten odrzekł im co następuje:

„Jak będziecie nachodzić i robić szum i nieprzyjemności, to opóźnicie zwrot pieniędzy, a władz to ja się nie boję. I nauczę was jeszcze rozumu oraz szacunku dla swego dobrodziejcy”.

Słowa Pokrzywy skrzętnie cytuję w nadziei, że wejdą one w przyszłości do „Antologii głupoty w Polsce”.

Cały sęk w tym, że Rząsa i Stokłos to nie pierwsi, którzy uwierzyli przysięgom prześladowanego dziedzic-patrioty. Okazało się, że to samo gospodarstwo Pokrzywa sprzedał już w 1957 roku Henrykowi Nagórskiemu i Mariannie Piasick ze wsi Zbójno, pow. Kolno, woj. Białystok.

A oto fragment charakterystycznej korespondencji Mariana Pokrzywy do swoich „klientów”:

„Po zawarciu Umowy z Szanownym Panem za 3 miesiące Szanowny Pan obejmie Majątek. Również nadmieniam, że całe Urządzenie Młyna posiadam. Gdyby Szanowny Pan Kupił Młyn z ogrodzeniem to urządzenie do chwili zarobienia przez Szanownego Pana Pieniądzy w tym młynie i za niską Cenę Szanowny Pan Kupiłby to ode mnie jeżeli Szanownemu Panu Brakowałoby Pieniądzy do Rejentów to wspólnie z żoną moją moglibyśmy Szanownemu Panu rozłożyć na kilka Rat Majątek ten jest moją własnością czyli Polaka, Proszę o Prekty przyjazd celem obejrzenia obiektu”.

Ofiara oszusta padło kilkanaście osób, od których wyłudził on niemal milion złotych! Wykorzystując naiwność i niski poziom umysłowy pokrzywionych chłopów dorobił się w ten sposób sklepu, fabryczki i wili z oddzielnymi apartamentami. W mieście, w którym

brak jest izb mieszkalnych, Pokrzywa posiada cztery mieszkania; przy ul. Północnej 36, Piotrkowskiej 155, Zwrotniczej 4 i Tuszynskiej 65.

Energiczny, ruchliwy, rzutki, przedsiębiorczy, obrotny, obdarzony sprytem i łatwością nawiązywania z ludźmi kontaktów opływał w bogactwie i pragnął się dorobić majątku nieruchomego na skalę drobnokapitalistycznego posiadacza. Dostatek i przepych, rozrzuć tryb życia, imponowanie otoczeniu bogactwem i ojcowską solidnością kosztem naiwnych i słabych — oto dewiza życiowa Pokrzywy. Z zawodu fryzjer był właścicielem sklepu zegarmistrzowskiego, który prowadził obecnie jego żona. W ogóle do rodziny Pokrzywów należy na terenie Łodzi niemal połowa prywatnych sklepów zegarmistrzowskich.

W Mickiewiczowskiej baladzie zbójca czatował na ofiarę przy kapliczce przydrożnej. Obecny zbójca wybudował kapliczkę we własnym mieszkaniu, dał ogłoszenie do gazety i ofiary same do niego przychodziły. Ech, jak się to czasy zmieniają. Czemuż jednak pozostaje naiwność ludzka?

KAROL BADZIAK



Koniec ery ADENAUERA?



JACEK LEBEN

Agencja prasowa rozniósł już po całym świecie dane dotyczące wyborów w Niemieckiej Republice Federalnej. Zna je już cały świat. Nie będę więc podawał liczb, uczyniła to bowiem codzienna prasa. Na wszystkie sposoby odmienna jedno zdanie: koniec ery Adenauera.

Rodzi się jednak pytanie, czy ta ocena nie jest przesadna. Czy naprawdę utraciła pięć procent głosów przez CDU dając podstawy do takich twierdzeń. Wydaje mi się, że tak. W przeddzień wyborów wywołując wybieg do głosowania na CDU/CSU Adenauer oświadczył: „Aby Bóg dał, żeby SPD przegrała. Wówczas zaś w obozie socjal-demokratycznym nastąpi prawdziwy zmierzch bogów, a nie jest to dla zmierzających się bogów zjawisko przyjemne”. SPD nie uzyskała znakomitego sukcesu mimo, że znacznie zwiększyła swój stan posiadania. Zmierzch bogów nastąpił w CDU. A jeżeli nie zmierzch bogów w ogóle, to zmierzch wielkiego bogaczaniera Adenauera na pewno.

Angielski dziennikarz z Chamberlin pisał w przed-

dzień wyborów: „Czynnikiem, który wybory z niemal nudnego aktu urzędowego zmienił w wyścig o niepewnym wyniku jest ciota, jaką zadał Chrząszcz 13 sierpnia br. zampekając granicę wschodniego Berlina... To poruszyło naród niemiecki, zwłaszcza wykształcone klasy, wywołując mieszaną reakcję gniewu i bezsilności. Zrodziło to również wątpliwości czy polityka Adenauera opierająca się na ponownym uzbrojeniu Niemiec w bliskim sojuszu z Zachodem daje szansę ostatecznego zjednoczenia Niemiec, bądź też nawet czy choćby zapewni skuteczną obronę zachodniego Berlina. Ten sam dziennikarz przytacza opinię jednego z przemysłowców niemieckich: „Adenauer pro wadzi politykę siły, ale w dając się że zabrnął w drogę bez wyjścia. Stoiśmy obecnie w obliczu rezultatów braku niemieckiej inicjatywy przed wielu laty. Być może wówczas było można coś zrobić, aby osiągnąć jakiś kompromis, kiedy jeszcze druga strona okazywała pewną uступłość. Obecnie jest za późno”. Tak jak ów przemysłowiec myśli dzisiaj wielu Niemców — dodaje Chamberlin.

Takich ocen można w prasie światowej spotkać znacznie więcej. Wszystkie one sprowadzają się w zasadzie do jednego twierdzenia: adenauerowska polityka z pozycji siły nie dała rezultatu. Możliwość zjednoczenia Niemiec jest dalsza niż kiedykolwiek. Polityka NRF zaczyna nieprzyjemnie ciążyć na polityce ich głównych so-

juszników. Pozycje w Berlinie są nie do obrony. Komieczność kompromisu stoi za progiem. Przed czterema laty hasła dotyczące siły działały na większość zachodnich Niemców. Dziś działają już w znacznie mniejszym stopniu.

Kancelarz Adenauer jest zbyt stary i zbyt długo rządził, by mógł zrewidować swoją politykę. Nawet hasło wyborcze CDU, czyniące z Adenauera anioła stróża pokoju, nie może w tym względzie zmienić powszechnej opinii. Byłoby bardzo bolesne dla Adenauera, gdyby sojusznicy poszli ra kompromis w sprawie Niemiec wbrew niemu. Byłoby to bolesne dla całej NRF. Dlatego potrzebny jest unik. I dlatego też znów na łamy prasy wraca nazwisko doktora Erharda, dotychczasowego wicekancelerza, drugiego człowieka w NRF, którego pierwszy człowiek bardzo nie lubi. Adenauer to dra pieżny, suchy, dosłotyczny starzec w sztywnym gorsecie. Erhard to jowialny, tłuściutki starszy pan. Nawet wi zualnie ten drugi wydaje się być miększy i kompromis do niego właśnie pasuje.

CDU straciła większość w Bundestagu. Rządzą koalicijnie sprawować będzie zapewne razem z FDP, mieszcząską partią liberalną. Odrzuciła ona chyba najwięcej sukces w wyborach. Duża część niezdeterminowanych mieszczan na nią wciąż nie głosowała. Rzeczka niemożliwej wagi jest fakt, że FDP różni się znacznie od CDU w poglądach na politykę zagraniczną. Zarówno Mende jak i Dehler — przywódcy tej partii wypowiadali się w czasie kampanii

„wyborczej za normalizacją stosunków z Polską, za rezygnacją z doktryny Hallsteina i za rozmowami ze Związkiem Radzieckim. A więc za tym, czego nigdy nie zaakceptowali ani Adenauer ani Brandt.

Herman Flasch sekretarz generalny FDP mówił przed kilkoma tygodniami: „Braliśmy udział w rządzie koalicyjnym w roku 1952, głosowaliśmy za przystąpieniem do NATO — ale NATO nie jest ostatnim etapem drogi niemieckiej polityki zagranicznej. Dla zjednoczenia na przykład warto by je porzucić. Nasz program dla Niemiec bazuje na ostatecznym traktacie pokojowym, zjednoczeniu i lokalnym w kładzie bezpieczeństwu zarówno poza ramami NATO jak i Paktu Warszawskiego. Neutralizm nie jest również celem FDP. Nie chcemy być drugą Austrią, ale nie wy powiadamy się również za jednostronnym msojuszem z którąkolwiek ze strony zimnej wojny. Wypowiadaliśmy się za ponownym uzbrojeniem Niemiec, ale jesteśmy przeciwni przyjęciu broni nuklearnej, jeśli zaś idzie o Wspólny Rynek to jesteśmy mu absolutnie przeciwni, dopóki takie kraje jak Anglia i Dania są poza nim. Chcemy handlować ze wszystkimi”.

FDP wyraziła gotowość ko alicji rządowej z CDU, ale pod warunkiem, że Adenauer nie zostanie kancelerzem. Można więc chyba zaryzykować twierdzenie, że jeżeli dla CDU wynik wyborów oznacza porażkę, to dla kancelerza Adenauera oznaczał one Waterloo. Jeżeli musi przyjąć rokowania, to Adenauer musi odejść.

"SAMSON"

Najnowszy film Andrzeja Wajdy nie należy do dzieł, wobec których można zająć jednoznacznie negującą lub aprobowującą postawę — zbyt wiele czynników decyduje o jego wartości. Jedno można stwierdzić jednak od razu — „Samson” Wajdy — adaptacja powieści Brandy — jest jednak dziełem autonomicznym.

Wajda nigdy nie robi „comicsów” literatury — jego filmy to twórcze, przemysłowe adaptacje, w których osobowość reżysera dochodzi do głosu nie tylko w kształtowaniu formy realizacji tekstu literackiego, ale zaważa na koncepcji postaci bohaterów oraz problematyce i ideowej wymowie filmu. Tak stało się z Brandy — sowskim bohaterem Jakubem Goldem, którego Wajda w filmie ukształtował na swój sposób. Historia bezmiennego bohatera filmu Wajdy osadzona w konkretnej rzeczywistości, poprzez zastosowanie świadomych środków stylistycznych, staje się historią, jaką rozpatrywać należy w innym, nie epickim, lecz psychologiczno-filozoficznym wymiarze.

Wajda, mimo wszystkich pozorów, odrealnił dramat swego bohatera, przedstawił nie jednostkowy los, nawet nie los milionów Żydów, lecz uogólnioną historię człowieka, któremu otaczający go świat nie pozwoli realizować zasady — „Leben und leben lassen”. Samson jest człowiekiem słabym, w walce z nim się dookoła świecić nie potrafi dokonać wyboru. Jego losami kierują przypadki. Przypadkowo zabija kolegę — jednego, który go broni, z więzienia niespodziewanie wyrzyna go wojna, by zamknąć zaraz w getcie. Samson ucieknie z getta — wbrew swej woli — przez przypadek. Gdy zdobędzie się na powrót, będzie już za późno — getto i jego ludzie przestaną istnieć. Znowu przypadkowo trafi do ludzi, którzy już raz chcieli mu pomóc, zrozumieć, dokonać wyboru. Zginie w ich obronie — to będzie jego wybór, jego ostatnie zdobycie się na czyn.

Wajda realizując swe zamierzenia eksponuje bohatera na plan pierwszy, nie tracimy go prawie przez cały czas z oczu, poza nim nie ma akcji w filmie (pominałszy jeden moment — rozstrzygnięcie historii Lucy —). Ten chwyt: pozwala reżyserowi koncentrować całą uwagę widza na postaci głównego bohatera.

„Samson” jest doskonałym przykładem współgrania koncepcji reżysera i operatora filmu. Zdjęcia Jerzego Wójcika odegrały w „Samsonie” nieposłuszną rolę, zwłaszcza w owych statycznych sekwencjach, kameralnych scenach, w których panorama nie wystarczałaby dla utrzymania nastroju — Przeciwnie, rozbiłaby go na wodopodobnie. Dobrane tony: plastyczne, kontrasty i czerni o różnych stopniach nasycenia w poszczególnych sekwencjach, współgrały idealnie, podbudowując nie

jednokrotnie dramat rozgrywający się na ekranie.

Obsada aktorska „Samsona” nie wzbudza w zasadzie zastrzeżeń. Eksperyment, jakim było zaangażowanie aktora francuskiego okazał się udany. Serge Merlin, nie tylko przez swe warunki zewnętrzne, ale właśnie przez swą psychiczną obcość okazał się dobrym interpretatorem Samsona, który w koncepcji reżysera miał właśnie być człowiekiem ciągle obcym wśród otaczających go ludzi. Alina Janowska i Jan Ciecierski wywiązali się ze swych ról bezbłędnie. Jedynie Elżbieta Kepińska nie potrafiła (podobnie jak w „Droga na zachód”) wyzbyć się teatralnych konwencji aktorskich, przesadziła przy tym z infantylizmem Kazi.

Z dotychczasowych rozważań zdawać by się mogło, że moja ocena filmu Wajdy zmierza konsekwentnie mimo wstępnych zastrzeżeń, ku pełnej aprobacie. Starałam się wskazać to, co wywołuje w „Samsonie” najwięcej wrażenie — a więc opowiedziany dramat człowieka i plastyczna realizacja zamierzeń autorów. Jest jednak rzecz oczywista, że w walorach opowiedzianej treści, choćby w swej wymowie była najszlachetniejsza, decyduje styl. Styl przesadził też o wartości „Samsona” A. Wajdy.

Reżyser odrealniając losy bohatera, dążąc do wielkiego uogólnienia wybrał poetycką formę przekazu — nad „Samsonem” zaciążył elegijny ton, który brzmi jednak często zbyt fałszywie.

Przeholował Wajda w stylizacji — w każdej niemal scenie czuje się natrętnie obecność reżysera, tak czy inaczej ustawiającego rekwizyty, kierującego aktorem czy rozstrzygającego dalsze plany. Narzucająca się stała obecność stylizującego, chwila mi na siłę, reżysera odbiera dzieło pasję dramaturgiczną i uczuciową, której

temat filmu chyba bardziej wymagał. Zapanował w filmie, chłód intelektualny, który jako dominanta mógł zdecydować o charakterze wyboru. W pełni na dystans intelektualny nie potrafił się zdobyć, puszczając cugle rozognionej wyobraźni. Doprowadziła go ona do takich scen jak napad korporantów na Samsona, jak oglądany przez bohatera obraz zniszczonego getta czy choćby ostatnia scena wysadzenia murów drukarni, w której symboliczne gołębie mogą załamać największego entuzjastę tak pojętej metaforyki.

Nieznosnie brzmi w filmie komentarz — czemu Wajda nie zawierzył obrazowi, czemu natrętnie interpretuje głosem narratora wewnętrzne przeżycia swego bohatera, czemu pozwolił na straszliwy patos wielu dialogów? Czy to wynik konsekwentnego dążenia do biblijnych porównań? Te ostatnie nie były chyba najniezbędniejsze dla całej opowieści.

Niektóre sekwencje i sceny ciągną się w filmie w nieskończoność — chwyt to zapewne zamierzony, mający doprowadzić do zagęszczenia atmosfery strachu, przynębienia i rozpacz. Mogłby reżyser rzeczywiście to osiągnąć, ale zgromadzenie zbyt wielu stylizujących elementów, zbyt wielka wymyślność scen i całej dramaturgii filmu doprowadziła do przeładowania, które stoi chyba o krok od określenia, które nosi miano „złego smaku artystycznego”.

Każdy nowy film Andrzeja Wajdy przynosi nowy przyczynek do charakteru jego twórczości. Wajda ciągle szuka nowych metod i środków, jest autorem ciągle twórczym — to niesłychanie ważna cecha jego reżyserskiej osobowości.

„Samson” stał się nowym, może nie zbyt udanym etapem na drodze jego stałych poszukiwań.



ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

MIESZANKA
FILMOWA

„5 łusek”

Wojna domowa w Hiszpanii w latach 1936—38 wielokrotnie już była tematem filmów. Wystarczy przypomnieć film Wandy Jakubowskiej o Generale Karolu Świerczewskim — „Żołnierz zwycięstwa”, „Nadzieję”, zrealizowaną w 1939 r. przez znanego pisarza francuskiego Andre Malraux, który oparł scenariusz na podstawie swej książki pod tym samym tytułem. Również znany dokumentalista Joris Ivens zrealizował „Ziemie hiszpańską” — najbardziej wzruszające wspomnienie skazanej na porażkę walki.

Wspominam te filmy dlatego, że ich główną wartością była wymowa ideowa. Niestety, o wiele gorzej sprawa się przedstawiała z formą artystyczną dwóch pierwszych filmów. Amatorszczyzna w realizacji sąsiadowała z monumentalizmem i z deklaratywnością. Brak tempa, wyraźnej linii dramaturgicznej — były podstawowymi wadami nie tylko wymienionych filmów. Te same „grzechy” obciążają film produkcji NRD „Pięć łusek”.

Losy kilku żołnierzy międzynarodowej brygady, którzy przedostają się przez linie frankistowskie, wydają się być z początku dość frapujące i noszą wszystkie cechy dobrej, sensacyjnej akcji. Mniej więcej w połowie filmu następuje jednak wyraźny kryzys scenariusza, zrobionego przez Waltera Gorrisha i reżysera Franka Beyera. Bohaterowie coraz częściej zaczynają być ukazywani na miarę posagów ze spiżu. Coraz to dalsze sytuacje zaczynają się powtarzać, stają się nieciekawe. W celu wydobycia maksimum ekspresji, reżyser i operator eksponują twarze bohaterów zbyt długo, zbyt natrętnie zaczynają stylizować ludzi i ich realistyczne, wojenne losy. Uwidaczniają się ciągle wysiłki reżysera, ażeby ożywić akcję, by dociągnąć ją w przepięknym czasie i metrażu do dość schematycznego happy endu.

Wielka szkoda stała się, że temat wojny w obronie republiki hiszpańskiej nie znalazł jak do tej pory dzieła filmowego na miarę swej politycznej wagi, swej ciągłej aktualności. Szkoda, że jedynie Hemingwayowski „Komu bije dzwon” jest dziełem i to tylko literackim, które w sposób doskonale artystyczny podejmuje ten trudny, ale jakże ciekawy temat historyczny.

MIESZANKA
FILMOWA

Przegląd filmów A. Forda

Wypada tylko przyklasnąć inicjatywie Rady Repertuarowej kina studyjnego „Gdynia” za zorganizowanie przeglądu twórczości filmowej jednego z naszych czołowych reżyserów — Aleksandra Forda. Przegląd ten został zainaugurowany filmem zrealizowanym w 1936 roku wspólnie z reż. Jerzym Zarzyckim — „Ludzie Wisły”. Niestety, nie jest to najlepszy film z przedwojennej twórczości Forda. Szkoda, że nie można było zdobyć kopii „Legionu ulicy” — filmu z 1932 roku, do którego Aleksander Ford bardzo starannie przygotował scenopis unikając martwych, pustych miejsc. „Legion ulicy” zdobył uznanie polskiej publiczności — „Złoty medal” w plebiscycie zorganizowanym przez popularny ówczesny tygodnik „Kino”. Film podobał się dzięki temu, że nie było w nim ani ułanów, ani kozaków, ani też stodziej panienki i wampira. Widziano w nim ubogie dzieci skłonne do wzajemnych poświęceń i samozaparcia.

Późniejszy o cztery lata „Ludzie Wisły” choć również są filmem na temat losów prostych ludzi — w ścianach filmaków pływających na dziełach zawieszonych berlińskich, to niestety wartości artystyczne tego filmu poważnie osłabia zrobiony pod upodobanie ówczesnej publiczności — tani, sentymentalny wątek miłosny. Młody

wówczas Jerzy Pichalski w roli amanta — polskiego apasza, jest miejscami nieznosny i irytujący. Za to inni są świetni: Wysocki, Opaliński, Zelwerowicz. To jest już kawał znakomitego aktorstwa, które Ford zanotował w swoim filmie tak bardzo nierównym stylistycznie.

Na marginesie tego przeglądu warto przypomnieć czytelnikom, że Aleksander Ford — łódzianin, zrealizował w latach trzydziestych film dokumentalny o Łodzi pt. „Tętno polskiego Manchesteru”. Głównym wątkiem tego filmu była praca w wielkiej fabryce włókienniczej. Jest to jeden z najwcześniejszych filmów europejskich ukazujących pracę robotnika w potwornych warunkach sanitarnych, jego zmęczenie i jego przedwczesne starzenie się. W przeglądzie będzie można zobaczyć również wszystkie powojenne filmy Forda z „Ulicą Graniczną” i „Piłką z ulicy Barskiej” na czele. („Krzyżacy” zostaną ze względu na panoramiczny ekran wznowieni w kinie „Widokiarz”). Dodać także należy, że jako dodatek do „Ludzi Wisły” wyświetlany jest jeden z pierwszych filmów Człowieka Filmowej Wojska Polskiego — dokumentalny „Majdaneć” zrealizowany przez reż. Forda w 1944 r. w Lublinie.

A. N.

MIESZANKA
FILMOWA

odtęsu str. 3

chłopców i dziewcząt

CZYLI GRANICE SWOBODY

1.

Swoje obserwacje czynilem na obozie dla młodzieży ze szkół średnich z terenu województwa łódzkiego. Oboz zorganizowany został przez KW ZMS Łódź w Sławie Śląskiej, w województwie zielonogórskim. Przez dwa miesiące przyglądałem się ponad trzysetu młodym ludziom. Porównywałem ich zachowanie się na obozie, gdzie nie działa nacisk domu, środowiska, gdzie przede wszystkim nie działa regulamin szkolny, z zachowaniem się w szkole. Miałem możność porównywać młodzież szkolną z niewiele starszą od niej młodzieżą robotniczą. Obserwacje swoje skrupulatnie notowałem i teraz chciałbym podzielić się wnioskami i uwagami, z Czytelnikiem.

2.

Życie obozowe postanowiłmy oprzeć na wzajemnym zrozumieniu i na świadomej dyscyplinie. Jeśli uważacie się za dorosłych — rozumowaliśmy, to będziemy traktowali was jak ludzi dorosłych. Tak na przykład, w swobodnej rozmowie poruszyliśmy poważną sprawę — palenie papierosów. Młodzi ludzie przyznali: istotnie palimy. Przecież i tak wszyscy o tym wiedzą, ale jakoś przemykają oczy. Nas ten stan krępuje. Uważamy, że to jest obłuda. Nasi rówieśnicy, któ-



rzy nie chodzą do szkoły, pracują, palą jawnie, a my musimy z tym kryć się. Czy tamtych tytoń nie szkodzi? A może to tylko konserwatywne wychowawców? Na koniec zaproponowali, żeby sprawę im pozostawić, że paląc w namiotach nie będą, (wypadki takie zdarzały się i trzeba było wyciągać odpowiednie konsekwencje), nie będą palić publicznie, ale gdzieś przecież paląc muszą.

Niestety, w praktyce okazało się, że raczej mają ci wszyscy, którzy utrzymują, że ciągle powtarzanie zakazu i jego przestrzeganie ma sens, nawet jeśli zakaz ów jest ciągle łamany: po prostu funkcjonujący zakaz pomniejsza rozprzestrzenianie się zła. Młodzi ludzie nie zdali egzaminu dojrzałości, dojrzałości charakteru naturalnie, a nie dojrzałości formalnej. Dowiedli, że ich pretensje do dorosłości są urojone, że cierpią jedynie na kompleksy dorosłości — chorobę młodości. Jest to choroba nieszkodliwa, jeśli przebiega łagodnie, i jeśli jest odpowiednio leczona. Palenie papierosów, niechlujstwo w sposobie ubierania się i w mowie, zamieszanie do używania mocnych słów, jeśli są jedynie demonstracją urojonej dorosłości, nie stanowią jeszcze niebezpieczeństwa. Groźne są dopiero wtedy, kiedy zaczynają być programem. Kiedy ze środków stają się celem. Kompleksy dorosłości może pozostawić groźne następstwa w

postaci cynizmu i egoizmu. Bo dorosłość można nie tylko demonstrować przez pokaz swojej siły i lekceważenia zwyczajów dorosłych, ale też i przez naśladowanie tego wszystkiego, co u nich jest zle.

3.

Życie obozowe ma swoje prawa. Na obozie stale jest coś do roboty. Sprzątanie, porządkowanie namiotów i terenu wokół namiotów, dekoracje, urządzenia pomocnicze, pomoc w kuchni. Młodzież robotnicza wykonuje to wszystko sprawnie i szybko. Pracuje na ogół chętnie, a narzędzia odkłada tam, skąd je wzięła. Uczniowie natomiast stale czegoś zapominają. „Zapominają” zdjąć siatkę po grze w siatkówkę, „zapominają” odnieść piłkę na miejsce, „zapominają” gdzieś w trawie piłę do drzewa i to tak skutecznie, że nikt jej nie potrafił potem już znaleźć, „zapominają” systematycznie ustawiać kajaki na stojakach i pozostawiać je w nieładzie na brzegu. Ważna była dla nich tylko ICH własna przyjemność. O innych nie potrafili po prostu myśleć.

Są to niewątpliwie skutki szkolnego systemu pracy, gdzie uczeń zmuszony jest liczyć na swoje własne siły, działanie indywidualne, w przeciwieństwie do systemu pracy w zakładzie produkcyjnym, gdzie działanie jest zespołowe. Robotnik rozumie, że praca przez niego wykonywana jest częścią wysiłku zbiorowego, i że od tego, jak on swoje zadanie wykona, w jakim stanie swój warsztat po zostawi, zależy sukcesy produkcyjne współtowarzyszy. Ta wiedza, może nie zawsze do końca uświadomiona, jest źródłem większej dyscypliny. W szkole natomiast, dyscyplina jest czymś narzuconym, nie stanowi integralnej części systemu pracy.

Taki stan rzeczy sprzyja rozwijaniu się egoizmu. Młodzież nie potrafi myśleć społecznie. Na pierwszym miejscu stawia zawsze sprawę własną. Dba o własne rzeczy, o własne interesy. Są to drobniutki, ale z takich drobniutkich tworzą się całe paławy.

Na obozie może być przyjęta jedynie określona liczba



uczniów. Oboz jest dużą atrakcją. Stanowi okazję do poznania wielu ludzi, do usłyszenia wielu ciekawych rzeczy, czy nawet do przeżycia przygody. Chętnych jest przede wszystkim niżej miejsce. Toteż wokół obozu kręci się zawsze kilku amatorów pragnących wkroczyć się na jakieś wolne miejsce. Przyjechali autostopem. Przywieźli ze sobą namiot i kilka koców. Rozbili się gdzieś w pobliżu i jeśli do obozu nie dostali się, to usiłują żyć wokół obozu niczym obozowi satelici.

Są brudni i zaniedbani, choć wokół pełno wody, a mydła też nie brak. Brud i zaniedbanie są u nich programem. Zdobywają tym powodzenie u dziewcząt, podziw i szacunek u chłopów. Są ucieleśnieniem swobody. Zaprzeczaniem wszelkiego przymusu, dyscypliny. Palą oficjalnie papierosy Bawia się do godziny dwunastej i dłużej w tancbu-

dzie, podczas gdy oboz dawno już śpi. Kiedy chcą wstają i co chcą robić. Przestali właściwie już być autostopowiczami, stali się koczownikami. Ciągłe jeszcze są podziwiani, a nazwa „autostopowicze” przylgnęła do nich mocno. Ciągła więc korzyść ze swojej legendy, zmuszają uczestników do wynoszenia chleba, do dzielenia się posiłkami. A czasem nawet namawiają do kradzieży. W obozie kilku uczestnikom zginęły odcinki karntów żywnościowych. Tego dnia „autostopowicze” chodzili syci. Raz nawet zdarzyło się, że głodni „autostopowicze” wyrwali z rąk przechodzących dziewcząt niedokończone porcje jedzenia.

4.

W ostatnim turnusie przyjechało na oboz osiemu chłopów z Zelowa. Od razu można było się zorientować, że tworzą tzw. zgraną paczkę, coś w rodzaju gangu. Umieszczono ich razem mając to na względzie, że dogadawszy się z hersztą, można będzie łatwiej nimi kierować. Przez jakiś czas wszystko szło nader sprawnie, „zelowiacy” istotnie słuchali we wszystkim hersztę i bez szemrania wykonywali jego rozkazy. Stanowili grupę solidarną i to solidarną aż do końca.

Zdarzyło się, że w czasie pełnienia warty przez „zelowiaków” pociął ktoś linki w namiotach. Obozowa tradycja dopuszcza wzajemne przewracanie namiotów, ale zgodnie z tą tradycją przewraca się namioty w cudzym obozie, a już nigdy nie przecina się linki, bo to wandalizm. Tymczasem linki zostały pocięte i podejrzenie padło na samych wartowników. Faktem było, że nie potrafili upilnować obozu, choć noc rzeczywiście była ciemna, a baterie w latarkach dostatecznie wyzerpane. Mimo to postanowiono warte ukarać. Przy okazji wyszło na jaw, że jeden z „zelowiaków” przyjechał do Sławy nie ze swoim skierowaniem, że po prostu odkupił uczestnictwo. Postanowiono rozstać się z nim. „Zelowiacy” odpowiedzieli groźbą — jeśli on pojedzie, wyjedziemy wszyscy. W trakcie rozmowy dwaj chłopcy zachowali się arogancko. Poproszono, żeby opuścili oboz. Pozostawili piątkę usiłowaną wytłumaczyć, że solidaryzują się z tymi, którzy postępują źle, a nie są solidarni w stosunku do pozostałych swoich kolegów ze szkoły, którzy nie pojechali sami na oboz, aby umożliwić wyjazd im: na oboz mieli jechać najlepsi. Niestety, ta perswazja nie poskutkowała. Solidarność wewnątrz gangu okazała się silniejsza od racji i więzi społeczności szkolnej. A może zagral tu strach? Gdyby pozostali, to po powrocie nie minelaby ich kara. „Skujam wam mordę” — powiedział herszt.

5.

Najtrudniejsze były niewątpliwie sprawy płci. Na obozie szybko tworzyły się pary. Żywot niektórych był bardzo krótki — jednodniowy. Inne trwały dłużej. Stosunek wielu chłopców do dziewcząt był przywytowy, kulturalny, rycerski. Otaczali je opieką, pomagali, nosili za nimi kocy, kłaski, torby. Razem chodzili na obiady, razem pływali jakimś. Ale widzieliśmy też objawy zdziwienia i chamstwa. Młodzi lubią we wzajemnym odnośniku się manifestować swobodę. Ma to w ich mniemaniu być przeciwieństwem konwenasów i obłudy starszych. Trzeba jednak mieć dużo kultury, aby

„SZALEŃSTWO OGARNIA ŚWIAT”?

Szekspir, aktualniejszy w naszych czasach, niż kiedykolwiek, mówi ustami Hamleta: „Wiele jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż to się śniło waszym filozofom”. Jedną z tych rzeczy jest szaleństwo. Umysł nie jest szaleństwem, choć o nim jedynie w dalszym ciągu będzie mowa, gdyż jest ono także, a przede wszystkim atrybutem bogów. Wszelkich bogów. Od początku powstania idei boga w umyśle ludzkim łączy się ono z pojęciem nieprzewidywanego i nieodpowiedzialnego w swoich konsekwencjach indeterminizmu czyli szaleństwa. W bajecznym świecie Homera szaleństwo ludzi na ziemi zaczyna się zawsze od szaleństwa bogów na Olimpie. W średniowieczu wszelkie objawy szaleństwa ludzkiego były wynikiem opętania człowieka przez irracjonalne siły pozaziemskie. Bóg lub Diabeł wlewał się w człowieka i człowiek nie odpowiadał za siebie — szalał. Im większy Bóg lub im większy Diabeł, tym większe szaleństwo. W ten sposób powstawali święci i zbrodniarze, których żadna rozsądna miara — jak wiadomo — do ludzi normalnych zaliczyć nie podobna.

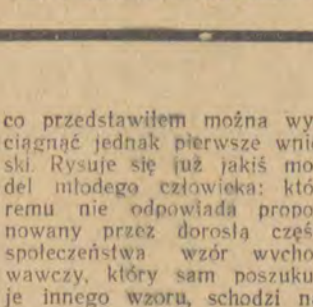
Ale dziś? Tu i ówdzie dostrzegalnego zjawiska szaleństwa nie podobna przecież tłumaczyć wpływem na ludzi jakichś bogów lub diabłów, w których zresztą nikt — poza zdecydowanymi wariacjami — nie wierzy. Wywołują je ludzie. Już silił się wojenne amoki i nagle przypływy szalonych społecznych. Ilustracją jednego z nich jest znakomity film „Matka Joanna od Aniołów”. Ale nie potrafi wytłumaczyć ostatecznie każdorazowego ich przebiegu i skutków. Znana jest psychologia tłumów, ale nieznaną jest nigdy sam tłum w nieobliczalnych formach swej reakcji. Medycyna tutaj też jest bezradna. Nie ma lekarstwa, które by nas zabezpieczało, indywidualnie przed uleganiem su gestii tłumów wbrew popularnemu przysłowiu: „Włazłeś między wrony — krakał jak i one”. Wiadomo, że w tłumie zatracamy nasz indywidualny rozum. Zbiorowa ilość przemienia nasza osobista jakość, albo w najlepszym wypadku sprowadza ją do zera. Chyba, że ten tłum przejawia jakąś zbiorową mądrość, wtedy podnosi nas do swego poziomu. Wtedy i głuchy w tłumie staje się na chwilę mądry. Ale wtedy to nie jest tłum, tylko zbiorowość zorganizowana według jakiejś logiki i kierunkowej myśli. Taką właśnie świadomą zbiorowość widzimy wśród ludności krajów walczących konsekwentnie z szaleństwem, naszych krajów. Zazwyczaj pod wyrazem tłum rozumiemy zbiorowość niezorganizowaną, przy padkową i chaotyczną czyli beznadziejną, a więc głupią. Jest to ten właśnie stan zbiorowości, który jest najbardziej podatny na zaraze szaleństwa. Ale i zbiorowość zorganizowa-

rozmaża się z szybkością ultrasoniczną.

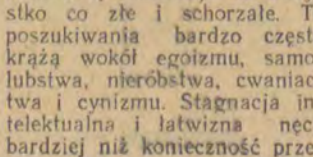
Kronikarze dziejów ludzkich zanotowali w ciągu wieków niejedną epidemję szaleństwa. Zresztą każdy z nas przeżył osobiste kataklizmy takiej epidemii w postaci ostatniej wojny, spowodowanej wirusem hitlerizmu. Okazuje się, że przebieg tej straszliwej choroby nie zabezpiecza przed powtórnym zarazeniem. Na zbiorowe szaleństwo nie wyeliminowano dotąd jeszcze żadnej szczepionki, żadnego skutecznego antybiotyku. Gorzkie stwierdzenie Szekspira w „W Królu Learze” pozostaje nieśmiertelne, nadal aktualne: „Jest to kłeska naszych czasów, że wariaci wodzą ślepców”. Niestety, i naszych czasów. Naszych czasów! Wystarczy przysłuchać się wrzaskom podległości z zachodniej Sclany. Tamten świat przypomina znany obraz Bruegela: „Ślepecy”.



Nauka socjologii zna i notuje rozmaite objawy histerii i obłędu zbiorowego, różne amoki i nagle przypływy szalonych społecznych. Ilustracją jednego z nich jest znakomity film „Matka Joanna od Aniołów”. Ale nie potrafi wytłumaczyć ostatecznie każdorazowego ich przebiegu i skutków. Znana jest psychologia tłumów, ale nieznaną jest nigdy sam tłum w nieobliczalnych formach swej reakcji. Medycyna tutaj też jest bezradna. Nie ma lekarstwa, które by nas zabezpieczało, indywidualnie przed uleganiem su gestii tłumów wbrew popularnemu przysłowiu: „Włazłeś między wrony — krakał jak i one”. Wiadomo, że w tłumie zatracamy nasz indywidualny rozum. Zbiorowa ilość przemienia nasza osobista jakość, albo w najlepszym wypadku sprowadza ją do zera. Chyba, że ten tłum przejawia jakąś zbiorową mądrość, wtedy podnosi nas do swego poziomu. Wtedy i głuchy w tłumie staje się na chwilę mądry. Ale wtedy to nie jest tłum, tylko zbiorowość zorganizowana według jakiejś logiki i kierunkowej myśli. Taką właśnie świadomą zbiorowość widzimy wśród ludności krajów walczących konsekwentnie z szaleństwem, naszych krajów. Zazwyczaj pod wyrazem tłum rozumiemy zbiorowość niezorganizowaną, przy padkową i chaotyczną czyli beznadziejną, a więc głupią. Jest to ten właśnie stan zbiorowości, który jest najbardziej podatny na zaraze szaleństwa. Ale i zbiorowość zorganizowa-



co przedstawiłem można wyciągnąć jednak pierwsze wnioski. Rysuje się już jakiś model młodego człowieka: któremu nie odpowiada proponowany przez dorosłą część społeczeństwa wzór wchowania, który sam poszukuje innego wzoru, schodzi na



na może niekiedy ulec zaraze szaleństwa. O tym przecież mogli genialny Szekspir.

Mechanizm tego procesu nie potrafił dotychczas przekonywająco wyjaśnić ani socjologia, ani psychologia, ani żadna z nauk społecznych. A przecież już Szekspir wskazywał na ten mechanizm. W tym właśnie przytoczonym powyżej cytacie: „wariaci wodzą ślepców”. Wariaci w zbiorowości są wtedy niebezpieczni, gdy zbiorowość składa się ze ślepców. Szaleństwo uogwarantowane ślepotą — oto genialne odkrycie i drogowskaz dalszych badań nad tym kluczowym dla dalszego istnienia ludzkości zagadnieniem.

Im mniej sił „rów w zbiorowości, tym więcej oporu wobec wariatów, tym mniej możliwości wybuchu epidemii szaleństwa. Trzeba, żeby wszyscy odważnie i jasno zechcieli spostrzec i widzieć, kto wśród ludzi jest wariatem — wtedy iskra szaleństwa w zarodku może być zgaszona i ewentualność wybuchu epidemii szaleństwa społecznie unie możliwiona. Albowiem nie jeden bóg ani diabeł jest przyczyną szaleństwa człowieka, lecz on sam, jego nierozum, jego bezwola, jego ślepotą intelektualną, a więc i aberracją moralną, gdyż sam brak rozumienia w złym jest złem.

Nie ma wariata, który by nie cierpiał na megalomański kompleks boga lub diabła. Każdy z nich uważa się za wiecień jakiegoś osobliwie wyjątkowego bezwola, jego ślepotą insto ich nieszczesne dla nas wariacjo. Złowrogi stają się wtedy, kiedy uznane przez ślepców, przemienia się w ich szaleństwo. Idol wariata zastępuje miejsce dawnego boga lub diabła jako przyczyna zbiorowego szaleństwa. Ale idol wariata tym jest niebezpieczniejszy od dawnych irracjonalnych demurgów, że jest żywy i realny. Dlatego realnie z nośroń żywych i w imię żywych można go wyeliminować. Byle tylko nie być wobec niego go ślepych doświadczeń i przemożności czyli intelektualnie. Bo jedynie rozum zabezpiecza przed szaleństwem. Oto genial na recepta Szekspira na wyjście z impasu ludzkiego szaleństwa. Hamlet widział zło, które wytraciło świat z formy, i dlatego je pokonał czyli wrócił ten świat do normy. Sam conradu zinał, ale otworzył oczy innym, którzy go przeżyli. Stąd nauka: aby przeżyć, trzeba nie być ślepy i widzieć zło. Zwalazca, że szaleństwo znów ogarnia świat i mo że go wytracić z jego formy w sposób tak straszliwie ostateczny, po którym nikt już nie zdoła przywrócić go do normy.

Najgorszym objawem w momentach krytycznych jest nienauka. Jest to całkowita rezygnacja z rozsądku na rzecz odruchu. Wariatom w to grał. Wszak oni kierują się w życiu wyłącznie odruchami, ta wylegarnia zaraziłych wirusów zbiorowego szaleństwa.

Przedstawiamy im sokół oprowadzanie i świadomość. To jedynie lekarstwo na szaleńców, które już skutkuje, choć choroba jeszcze trwa.

nie przekroczyć granic tego, co się określa „swobodą”. Ktośś nocy w dziesięcioosobowym namiocie dziewczęcym „znaleziono” jedną parę „in flagranti”. Byli z jednej szkoły, za rok już ją kończą, chodzą ze sobą od dawna, myślą o sobie poważnie. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że w tym konkretnym i jednym zresztą wypadku wystąpiły i bezwzględnie i opaczne rozumienie „swobody”. Jest to sygnał, że w szkole ciągle sprawy płci są pomijane wstydlwym milczeniem, a młodzi mają wiele do powiedzenia na ten temat i bardzo chcieliby swe opinie wypowiedzieć, skonfrontować z opiniami dorosłych, może niejedną raz pokłócić się.

6.

Przetawione powyżej refleksje dotyczą oczywiście niecałej młodzieży. Z tego

co przedstawiłem można wyciągnąć jednak pierwsze wnioski. Rysuje się już jakiś model młodego człowieka: któremu nie odpowiada proponowany przez dorosłą część społeczeństwa wzór wchowania, który sam poszukuje innego wzoru, schodzi na



manowce, naśladowe to wszystko co złe i schorzone. Te poszukiwania bardzo często kradzą wokół egoizmu, samolubstwa, nierobstwa, cwaniactwa i cynizmu. Stagnacja intelektualna i łatwizna nęcą bardziej niż konieczność prze-

zwyciężenia pewnych wad, niż potrzeba zrozumienia tego, co jest złe i dlaczego jest złe. Ale z tych poszukiwań wyłania się jeszcze druga prawda — prawda o sformalizowaniu wychowania szkolnego. Wyciowanie szkolne opiera się na odpowiednich regulaminowo ustalonych zakazach i nakazach. Jest to zbiór „uczniowskich praw”, który ma pomagać w wychowaniu, a nie zastępować wychowania. Młodzieży potrzebny jest jakiś wzór człowieka współczesnego, i drogowskaz pomocy w jej własnych poszukiwaniach. Chcielibyśmy sprawdzić, czy taki drogowskaz istnieje, czy młodzież uświadamia sobie, czego współczesność wymaga od człowieka. Zadałbym więc im pytanie: Jaki powinien być człowiek współczesny? Otrzymałbym wiele odpowiedzi — nasuwających wiele wniosków i refleksji, ale omówienie tego pozostawiamy sobie na następny raz.

tramwajarskiej komuny



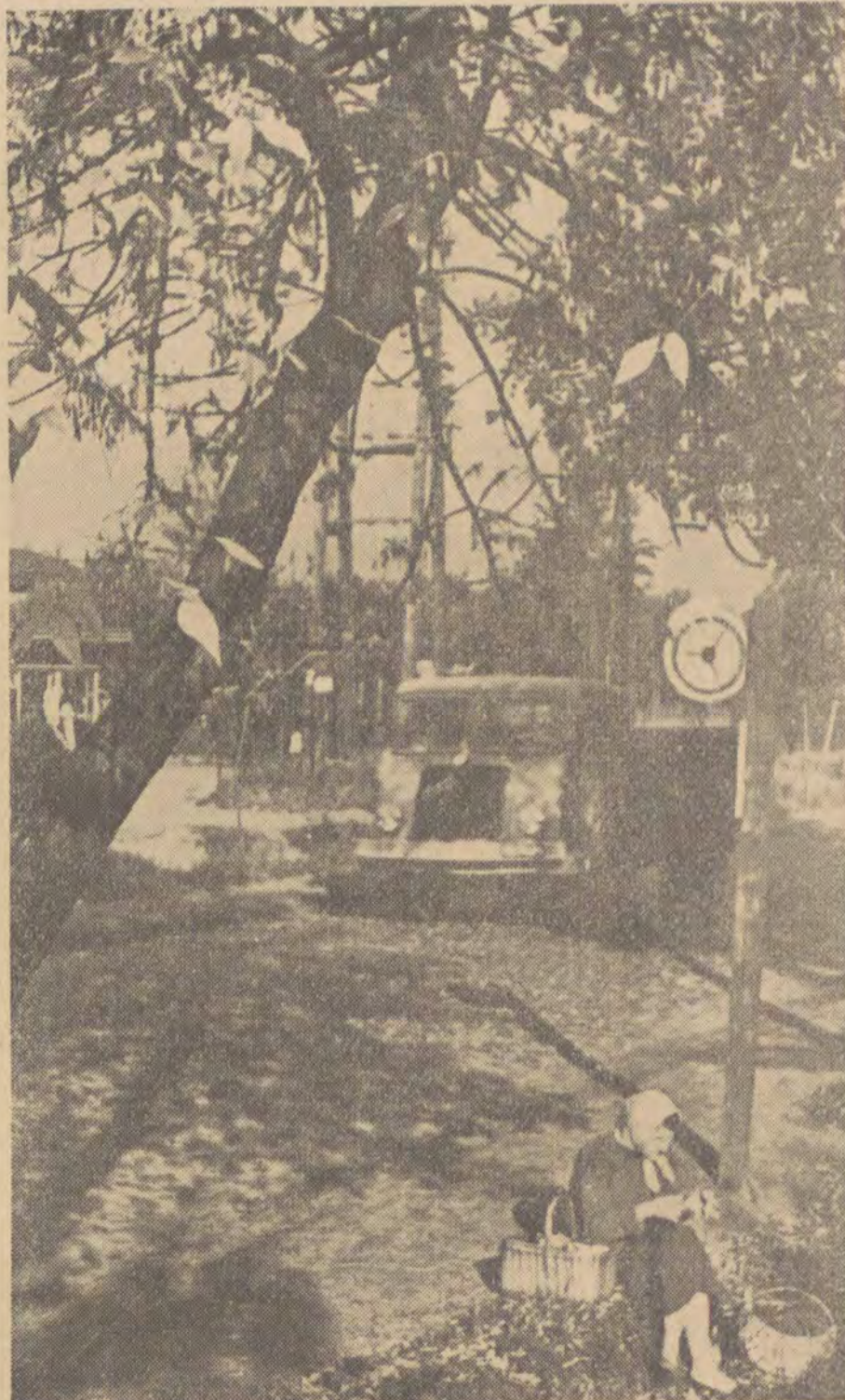
Ale nie ma już, to prawda, dawniej sędzijskiej solidarności. Są grunki i siewy, wprawdzie oskarżenia. O kandy, O nie-poczytalność, O kretactwo. O kradzieże. W szkole kradli, ale umoczyli. Młw rozbrali, ktoś na tym zarobił. Kogoś zdieł, ale awansował. Były manka, lecz brak winnych. Ten jest kumoter, a tamten rozrabia. Ten ma kumpli wysoko, a ten ma opiekunów jeszcze wyżej. Zagrzeb się biedny reporterze, w te dochodzenia, a ugrzęźniesz do uszu.

Po wojnie, zaraz po wyzwoleniu próbowała jeszcze organizować się tramwajarska komuna. Na wszelki wypadek nazwę „Stowarzyszenie Właścicieli Nieruchomości” zmieniono na „Stowarzyszenie Właścicieli Domków Jednorodzinnych”, ale to budziło czujność superwizorów na niektórych władz. Czy uczciwy robotnik mógł przed wojną dorobić się z własnej pracy jednorodzinny dom? Nie, nie mógł, to nie mieściło się w ówczesnych modelach czasów burżuazyjnych. Błąd oczywiście próbowano naprawić z różnym skutkiem. Funkcję „Stowarzyszenia Domków Jednorodzinnych” miały spólnie komitety blokowe. Zasekwstrowano wieczystą i niepodzielalną własność Stowarzyszenia — ów piękny park i sad Park zmarniał i zdziczał, wciskała się weń ogrodzenia bardziej przedsiębiorczych sąsiadów. Sad rozdzielono na ogródki działkowe dla ludzi spoza dzielnicy. Nawet niektórzy notabie miescy z upodobaniem sadzą tu kwiatki. Dworek — siedziba Stowarzyszenia rozebrano, a biblioteka nie wiadomo na jakiej podstawie powędrowała w nie znane miejsce pobytu.

Te niezawinione kleski, które spadły na tramwajarską komune, całkowicie rozbiły zwaite środowisko, starzy wymarli, chorują lub stracili wiarę w sens społecznego działania, na miejsce kolonistów niemieckich przycięż którym mobilizowała się społeczność Sikiawy napytali ludzie zza Bugi. Młodzi ciążą do środowiska, oni nie czują żadnej wewnętrznej potrzeby organizowania się w ramach peryferyjnej dzielnicy. Trudno zebrać nawet czwórke na brzydka. Stosunki sąsiadskie zanikają.

Reporter nie zamierza oceniać, czy to dobrze czy źle. Reporter notuje fakty.

Faktem jest, że olbrzymia większość tych celów, dla których wytworzyła się w warunkach kapitalizmu spólna tramwajarskiej komuny, jest dziś realizowana przez państwo socjalistyczne: szkoła i klub sportowy, społeczne przedszkole TPD, komunikacja i zaopatrzenie, zdrowie i higiena, gospodarka komunalna i urządzenie kulturalne. O 12 minut drogi jest wielkie, tężniace życie miasto. Ono wciąga w swoje tryby sikawska młodzież, unowocześnia na wpół wielki charakter życia na peryferiach, Sikawa stała się dla



młodych. Ii tylko miejscem do spania. Synowie tramwajarzy są studentami, wsiakają w nowa inteligencja. Sikawa ma więcej telefonów niż średnio przypada na tysiąc mieszkańców Łodzi.

Nie darmo jednak socjologowie podkreślają wagę „wielkiej nieformalności” dla społecznego zdrowia. W zmienionych warunkach wystawia zmienione potrzeby. Dzielnice lokalne ośrodki rozrywkowo rekreacyjne nie tracą racji bytu, o ile działalność ich odpowiada realnym potrzebom.

Na miejsce uprzednio istniejących stowarzyszeń typu „Społeczność oświatowa” powstało „Stowarzyszenie Kulturalne w Sikawie”, wykazujące idealny brak jakiegokolwiek działalności. Starzy chcieliby żeby pomagało ono w zakupach, gwoździ, napw, nasion i środków owadobójczych, a na argument: „przecież istnieje państwowy handel” odpowiada ją (może często nie bez racji) wzruszeniem ramion i odchodzą konąć swe grzadzki. Młodzi od dawna marzą o klubie dzielnicowym. Jest nawet pomysł mieszczynie należne do daw-

niego Stowarzyszenia Właścicieli Domków Jednorodzinnych, kilka niezłych sal i pokoi, ale Ochotnicza Straż Pożarna zamknęła je i nie wpuszcza nikogo. Owszem, czasami na niedziele urząda potańcówkę. W dni powszednie hulają tylko mrzonie. Jest w tym coś z absurdu. Jest w tym coś z absurdu. Ochotnicza Straż Pożarna zamiast „umiaszawiać” Sikawę — „uwieszcza” ją. Wiadomo, co to są tradycje wiejskiej remizy. Jakoś trudno sobie wyobrazić (przy całym szacunku dla strażaków — ochotników), aby byli oni specjalnie predestynowani do funkcji organizatorów życia kulturalnego w mieście Łodzi.

Mimo, że nie ma dziś zgody w sikawskim narodzie, mimo, że działa mnóstwo rozbieżnych grup i interesów, to w tej jednej sprawie wszyscy są zgodni: niech straż ochotnicza usunie się wreszcie z nie swoich budynków, niech odda je młodzieży Sikawy na klub. Zwalazza, że (jak utrzymuje gmina opowieści) dzielni ochotnicy zawsze na szarym końcu przystępują do akcji przeciwpożarowej.

Proces integracji Sikawy w życie wielkomiejskie z każdym rokiem awansuje, mimo utyskiwań starszej generacji. Tradycje tramwajarskiej wspólnoty są już odległym echem; wojna i migracje przemieszczyły ludność, urbanizacja niszczy spólnie przedwojennej komuny nadała Sikawie amorficzny, „przeciwny” charakter przedmieścia. Właścicielem już nikt rozsądny nie myśli o re-aktywowaniu starych form społecznego działania. Dezyderaty pod adresem władz są konkretne i realistyczne: w zamian za zabraną społeczeństwu Sikawy jego własność — piękny park, bogaty sad i komplet budynków — dajcie nam choćby skromne fundusze na urządzenie życia kulturalnego oraz budowę boiska dla młodzieży. Skasujcie na rzecz ZMS bezsensowne władanie świetlicą przez strażaków.

Ale oto samo życie wysunęło nowy problem społeczny, wskazujący na wagę lokalnych organizacji społecznych. Na obszarach Sikawy, w miejscach bauerów osiedlili się repatrianci ze wschodu o ja-skrawo niższym poziomie cywilizacyjnym niż mieszkańcy „centrum” Sikawy. Podczas gdy centrum coraz bardziej wtapia się w życie wielkomiejskie, „obrzeża” tkwią w zacofaniu i prymitywie. Dzieci z tych okolic są na terenie szkół omijane przez rówieśników; brud i zawieszanie mimo wysiłków lekarza i nauczycieli są wśród nich zjawiskiem nagminnym. Odczuwa się, że brak społecznej płaszczyzny styku między obu grupami ludności Sikawy uniemożliwia cywilizacyjne — gospodarcze i kulturalne oddziaływanie na „obrzeża”.

Problem więc, rozwiązany mimo dużych strat moralnych wobec „staruch” sikawian, staje na nowo: czy przewodkiem centralistyczna funkcja socjalistycznego systemu nie wymaga uzupełnienia w postaci lokalnych, gospodarczo-kulturalnych ośrodków integracyjnych? Głos — socjologom.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI



przed nowym sezonem "Odgłosy"

rozmawiają :

Z kierownikiem artystycznym TEATRU POWSZECHNEGO Romanem SYKAŁĄ



Janusz Kłosiński w „Obrocie Ksantypy”
Fot. G. Puciato

Z kierownikiem artystycznym TEATRU 7.15 Januszem KŁOSIŃSKIM

Panie Dyrektorze, Teatrowi „7.15” w minionym sezonie dostało się od prasy za najróżniejsze ważne lub mniej ważne grzechy, między innymi za brak jasnej linii repertuarowej. Jak to będzie w tym roku?

— Teatr 7.15 ma być w bieżącym sezonie teatrem wyłącznie rozrywkowym. Nie bardzo to odpowiada moim ambicjom artystycznym i zainteresowaniom, ale też nie ja decydowałem o takim właśnie charakterze teatru.

— Jakże sztuki zobaczymy na tej najmniejszej i najbardziej niewygodnej scenie Łodzi?

— W połowie październi-

ka damy premierę wodewilu Dragutina — Dobryciana „Wspólne mieszkanie”, w którym zagrają między innymi Andrzejewska, Juriewicz i Kamiński. A dalej w kolejności: Val Gielguda sztukę pod roboczym tytułem „Villa Solitaria” ze Sciborem w roli głównej, później program składany, przygotowany pod kierownictwem literackim Sikiryczkiego, a pod koniec roku Sensae Conti „Samobójstwo doskonałe” i Francois Sagan „Zamek w Szwecji”. Jak pan widzi jest to repertuar wyłącznie współczesny. Chciałbym jeszcze wspomnieć o przygotowywanej na poranki dla młodzieży szkolnej inscenizacji ballad Mickiewicza.

— Doszły nas alarmujące wieści o odejściu z teatru kilku dobrych aktorów. Jak więc są ubytki i kto przybył do zespołu?

O odchodzących między innymi Lutkiewicz i Misiurewicz, przychodzi Jabłoński (z Teatru Powszechnego), absolwent Łódzkiej Szkoły Teatralnej Dembiński i Juriewicz. Poza tym z Teatru Ziemi Łódzkiej przenosi się do nas para aktorska Józwiak i Freilich.

— Jaka jest Pana ocena własnej pracy w pierwszym roku Pańskiego kierownictwa artystycznego?

— „Teatr 7.15” jest teatrem bardzo trudnym. Dla przykładu — „Śmierć Tariatina”, — sporego rozmiaru osiągnięcie artystyczne była dla teatru — jeśli chodzi o frekwencję i wpływy kasowe — prawdziwą klęską. Od strony warsztatowej zespół, którym kieruję wyrażnie podniósł swój poziom. Widać to choćby w solidności, w starannym przygotowaniu, w rozwoju artystycznym wielu kolegów.

Z kierownikiem artystycznym FILHARMONII ŁÓDZKIEJ Stefanem MARCZYKIEM

— Ubiegły sezon koncertowy był pierwszym sezonem Pańskiego kierownictwa artystycznego. Jak go pan ocenia?

— Z winy przede wszystkim „PAGARTU” był on dość ubogi. Poza Witoldem Małcużyńskim nie mieliśmy u nas solistów o głośnych, atrakcyjnych nazwiskach. Nie gościliśmy także wielu krajowych artystów. Na poziom artystyczny zespołu musiał też niekorzystnie wpłynąć moje długotrwałe absencje wywołane chorobą. Z tych też powodów jestem dość lekko od zadowolenia.

— Czy możemy się spodziewać, że początek bieżącego sezonu zapowie wyjście z impasu?

— Na sezon bieżący patrzę z optymizmem. Już pierwszy kwartał zapowiada się wyjątkowo bogato.

— Kogo więc usłyszymy?

— Przede wszystkim koncert jakiegoś jeszcze chyba nie było: koncert podwójny na dwa skrzypce Bacha zagrają Dawid i Igor Ojstrachowie. Już we wrześniu gościć będziemy fenomenalnego pianistę amerykań-



Stanisław Lapiński w „Zabach”
(Mała Scena Teatru Nowego)

Fot. G. Puciato

— Sezon rozpoczynamy sztuką Tennessee Williamsa „Tramwaj zwany pożądaniem”. Ta popularna i powszechnie znana pozycja nie była w Łodzi nigdy wystawiana, a czas na to najwyższy, bowiem wygasa już umowa z autorem. Obsadę stanowią: Niemczyk, Sabara, Zdzieszńska i Kaluda. Po „Tramwaju” kolej na „Kochanego kłamcę” Jerome Kilty z Malicką i Szonertem, oraz na „Miesiąc na wsi” Turgieniewa w reżyserii Koczanowicza. Następne pozycje to „Grube ryby” — Bałuckiego (będzie to praca dyplomowa reżysera Stawowskiego) i „Lowcy głów” w reżyserii Malickiej. W związku z XX rocznicą powstania PPR wystawimy sztukę Stanisławy Sowińskiej „Łódzkie kwiaty”. Jej sztuka mówi o walkach robotników w latach dwudziestych.

Sztuka Scherwooda „Droga do Rzymu” poświęcona jest problematyce antywojennej. Mimo, że jej fabułą jest marsz Hannibala na Rzym mówi o sprawach bardzo aktualnych.

Problem młodzieży porusza „Przed maturą” Jose Andre Lacoura. Sztuka przypomina film „Przed potopem” z tym, że zajmuje się ona wpływem etyki rodziców na mentalność i postępowanie młodzieży. (Na marginesie — scenografię do tej sztuki opracuje Lech Zahorski).

— Przede wszystkim chcę trochę grać — to dla reżysera niezbędne. Reżyserować będę „Kochanego kłamcę”, „Kwiaty Łódzkie”, „Droga do Rzymu” i „Herbaciarnię”. Nawal zajęć nie pozwoli mi przyjąć propozycji reżyserowania w warszawskiej „Syrenie” składanki satyrycznej, a również oddali realizację — marzenia raczej niż planu, polskiego musicalu.

skiego Malcolma Fragera. Krytycy muzyczni piszą o kiedykolwiek dotrże do zainim, że osiągnął „pułap pianistyczny”, a trzeba przy tym wiedzieć, że muzyka jest dla Fragera zajęciem ubocznym — jest on doktorem filozofii. Oprócz wymienionych wyżej wystąpią jeszcze pianiści: duo fortepianowe Pietsch — Langer, Bernard Reingisen, Monika Haas, Tania Achout, Kowaczuk, Pollak; skrzypkowe: Borys Gutnikow, Bronisław Gimpel, kwartet smyczkowy im. Borodina z Moskwy oraz dyrygenci: Werner Scheniger, Vaclav Jiracek i Milan Horvat. Z solistów polskich zobaczymy właściwie całą polską czołówkę: Czerny-Stefańska, Wilkomirska, Hesse-Bukowska, Smendzianka, Wojtowicz, a z dyrygentów Chwedeżuka, Czyża, Górzynskiego, Kalliewicza, Krzemieńskiego, Latoszewskiego, Semkowa i Stryje.

— Jakże są osobiste Pana plany artystyczne?

— Już w październiku będę dyrygował w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Mam też w planie wyjazd do NRD, Czechosłowacji, a być może i do Włoch.

— Jakże są plany repertuarowe?

— Chcemy realizować w tym roku zasadnicze cykle koncertowe. Pierwszy to cykl beethovenowski, w którym usłyszymy wszystkie symfonie łącznie z IX. Drugi to cykl oratoryjno-orkiestrowy, zawierający wielkie utwory na chór i orkiestrę. Między innymi usłyszymy „Egzortę” Bairda, po raz pierwszy w Łodzi wykonaną III Symfonię Szymanowskiego, monaż estradowy „Borysa Godunowa” i „Requiem” Mozarta. Trzeci cykl chcemy zmontować z utworów symfonicznych już znanych i popularnych. Będziemy chcie-

Z kierownikiem literackim TEATRU NOWEGO Janem KOPROWSKIM

Nie udało nam się skłonić do rozmowy kierownika artystycznego Teatru p. K. Dejmka. I w związku z tym możemy Czytelnikom służyć informacjami jedynie na temat repertuaru.

Sezon otworzy sztuka Suchowa — Kobylina „Sprawa” w przekładzie i reżyserii Bogdana Korzeniowskiego. Jest to część trylogii, na którą składają się jeszcze „Małżeństwo Kreczyńskiego” i „Śmierć Tariatina”. Następną pozycją będzie „Historia o chwalebnyim zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka. Jest to kontynuacja linii repertuarowej rozpoczętej „Żywotem Józefa”. Reżyseruje Kazimierz Dejmek. Poza tym na dużej scenie zobaczymy prawdopodobnie „Romea i Julię” Szekspira i „Słowo o Jakubie Szeli” Jasińskiego. Możliwe jednak, że zamiast którejś z tych pozycji grane będą „Kordian i chm” Krucewskiego, „Komediantka” Reymonta lub „Sulkowski” Żeromskiego.

W Małej Sali sezon otworzy prapremiera „Zaczarowanej gospody” Władysława Smółskiego. Następną premierą będzie „Prometeusz skowany” Aischylosa. Program małej sali przewiduje dwa wieczory: polską i zachodnią sztukę współczesną. W wypadku pozycji polskiej w grę wchodzi: „Za parawaną”, lub „Podróż” Jana Czarnego, „Starszy brat” Bohdana Drozdowskiego i „Kongres w Farsafii” Jerzego Zagórskiego — pozycja wyróżniona w zamkniętym konkursie na sztukę współczesną rozpisany swojego czasu przez Teatr Nowy.

Zadnych zmian personalnych w zespole teatru nie przewiduje się.



„Skowronek” w Teatrze Powszechnym

Fot. G. Puciato

— W powszechnym zapale przyklejania etykietek łódzkiemu teatrowi — Teatr Jaracza otrzymał etykietkę specjalisty od repertuaru klasycznego. Czy i bieżący sezon będzie przebiegał pod znakiem klasyki?

— Nie przyjmujemy żadnych etykietek. Teatr winien grać wszystko, nie przyzwyczajając się tylko do trykotu ale i do marynarki. Nasz teatr, przez tradycję nazwy, tradycję metody Stefana Jaracza, powinien być teatrem aktora i służyć współczesności. Sztuki realizowane w takim programie mogą być różne, bowiem pojęcie profilu teatru jest chyba nieporozumieniem. Rozumiejąc, że nie może być mowy o polskim repertuarze współczesnym bez popierania współczesnych autorów, planujemy dwie sztuki młodych: „Dark Glory” — K. Obidniaka i „Termitierę” — Z. Nienackiego.

— A inne premiery tego sezonu?

— Mniej więcej chronologicznie będzie to wyglądało tak: „Malatesta” — H. Mothertlanda — sztuka o powstaniu władzy świeckiej. „Dark Glory” — bardzo aktualna sztuka o ludziach, którzy uciekli na skutek badań nuklearnych. Z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej wystawimy „Trzecią patetyczną” — Pogodina. Następnie „Kariere Artura UI” — Bertolda Brechta — sztuka o początkach faszyzmu, i „Więźniowie z Altony” — słynny dramat J. P. Sartra oceniany faszyzm z pozycji byłego oficera hitlerowskiego, mieszkającego aktualnie w NRF. Z kolei „Termitiera” — nagrodzona w konkursie WRN w Kra-

— W powieści „Volpone” — Ben Jonsona. Poza tym mamy zamiar wystawić którąś z nieznanych sztuk Pirandella, „Kochanego kłamcę” — Killy oraz „Igraszki z diabłem” — Drdy. Od dawna myślimy o „Dziadach” ale ze względu na szereg trudności nie wiem czy wystawimy je w tym sezonie.

— Sądze, że jedną z trudności jest zamieszanie z wianami ze zmianami personalnymi w zespole.

Z kierownikiem artystycznym TEATRU JARACZA Feliksem Żukowskim

— Istotnie, w tym roku tracimy: A. Jurkowską, L. Legut, M. Nowakowską, R. Baciarrellego, L. Andrzejewskiego, L. Wiernka i M. Wojciechaka. Nabytkami natomiast są: K. Iwiński i M. Małek z Katowic, B. Ciesielski z Warszawy, Z. Marzec — Marzecowski z Wrocławia, K. Woźniak z Koszalina, A. Jedrzejewski z Teatru Powszechnego oraz B. Antczak, H. Józwiak i J. Balbuza ze Szkoły Teatralnej im. Schillera.

— Z reżyserów współpracować z nami będą Maryna Broniewska i Maria Wiercińska.

— Jak wyglądają Pańskie osobiste plany artystyczne na sezon 61/62?

— Czeka mnie dużo roboty aktorskiej. Będę grał m.in. w „Malatestie”, „Trzeciej patetycznej”, „Igraszki z diabłem”. Reżyserował będę „Dark Glory”, „Igraszki” oraz „Kariere Artura UI” lub „Więźniów z Altony”. Miniony sezon zamknęliśmy licząc dziesięciu premier, nadchodzący nie zapowiada się lepiej.

— Wprawdzie dyskusja teatralna w „Odgłosach” już się skończyła, ale jednak po prośbie Pana o ocenę jej przydatności.

— Osobiście nie brałem w niej udziału, bowiem moim zdaniem, rozwinięta się w niewłaściwym kierunku. Dyskutanci nie docenili trudności jakie przeżywa teatr, kłopotów personalnych i finansowych czy konieczności walki o poprawę frekwencji.

P. S. Tak więc dwa teatry łódzkie mają zamiar grać „Kochanego kłamcę”. (Możliwe, że przyjadą do Łodzi z tą sztuką Irena Eichlerówna i Władysław Hańcza, odbywający tournée po Polsce.) Abstrahując od przyczyn popularności tej komedii musimy zająć stanowisko w sprawie między teatrami Powszechnym i Jaracza. Nie ulega wątpliwości, że Teatr Jaracza przed Powszechnym zamówił sztukę o tłumacza. Faktem jest, że sztuka ta opiera się raczej na roli mekskiej i dlatego jest odpowiedniejsza dla F. Żukowskiego niż dla M. Małkiewicza. Poza tym wydaje się nam, że aktorom i stałym widzom Teatru Jaracza należy się w tak ambitnym, trudnym z cydowaniem politycznym repertuarze pozycja nieco lepsza — dla wytnięcia. Wniosek — głosujemy za Teatrem Jaracza.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

NIGDY NIE ZAZNAM SPOKOJU

Kiedy czytam obecnie wydane wiersze Antoniego Kasprówicza, nie mogę oprzeć się wspomnieniom. Było to prawie trzydzieści lat temu. Siedziałem właśnie w redakcji „Prądów” i ze znużoną miną przeglądałem na desłane wierszy. Z nieufnością spojrziałem na przybysza, który bąknął, że pisze i chciałby coś wydrukować.

Wśród przyniesionych wierszy błysnęły grudki szczerzłotego talentu. Łódzi przybył poeta prawdziwie proletariacki: Antoni Kasprówicza. W marcu 1932 r. wyszedł czwarty numer „Prądów”. W nim Kasprówicza zadebiutował dwoma wierszami: „Ja” i „Pozdrowienia dla Watykanu”. „Nigdy nie zaznam spokoju, By głębiej odetchnąć móc, Może przy świeczce z lozu Wypluje resztki płuc”.

Kasprówicza zaczął od autobiografii. I nie mogło być inaczej. Poeta z rodowodu i życiorysu — proletariusz obrazuje i utrwała heroiczną drogę łódzkiej klasy robotniczej od strajków i walk aż do zwycięstwa. Ma świadomość swej przynależności. „Jak bomba runęłam na miasto, za mną tysiące jak ja” — wyznaje w wierszu pt. „Matka”.

W r. 1935 poeta wydał swój rewolucyjny zbiorek „Słońce za murem”, przyjęty z uznaniem przez krytykę i poczytny wśród robotników. Dalsze publikacje „Chwasty płonące” (1937) i „Flet czarnodziejski” (1939). Po wojnie: „Poemat łódzki” (1957).

Obecnie Wydawnictwo Łódzkie ogłosiło wybór z tych tomików. Wiersze zostały poseregowane w trzech działach: wiersze proletariackie, o przyrodzie i utwory z naszego piętnastolecia. W przedmowie do książki Władysław Broniewski zastanawia się, w jakim stosunku poezja A. Kasprówicza pozostaje do Trzech salw — głoszonego manifestu rewolucyjnego, inicjującego w r. 1925 poezję proletariacką w Polsce. Autor „Wiatraków” dochodzi do wniosku, że droga łódzkiego twórcy była odrębna aniżeli jego — Broniewskiego, Wandurskiego i Standego. Rzekiwiście. Kasprówicza wszedł do literatury wprost z łódzkiego zadymionego „podwyrka”. Przekazał nam własne doświadczenie, własne celne obserwacje i autentyczny proletariacki język.

„Ja”, „Matka”, „Ojciec”, „Bezrobotny”, „Gatgania-rze”, „Zebrak obłąkany”, „Redukcja”, „Złodziej”, „W celi 16”, „Człowiek z Wdzuca”, — oto tytuły pierwszych wierszy, orientujących w jakim środowisku dojrzewał talent Kasprówicza gniewny i czuły, gdy chodzi o szczęście człowieka. Poeta oddaje życie i walkę łódzkich robotników tak wiernie, że dziś po latach, w warunkach innego ustroju utwory Kasprówicza nabrwały cech nieomal dokumentalnych. Realizm zdarzeń, prawdziwość przeżyć, osadzonych mocno w konkretnym środowisku, ścisłość niekiedy brutalności określa — posiadają wagę nie byle jaką, poświadczającą prawdę. Oto Kasprówicza przedstawia robotnika z Wimy w wierszu pt. „Redukcja”. Bohater wiersza czyta zawiadomienie o redukcji: „Trza zdychać” — myśli robotnik i czerwienią spluwa na chodnik. „Uczni w piśmie” powiedzą „naturalizm”. A to po prostu fakt, obraz z życia.

W wierszach Kasprówicza spotykamy wiele nieuglaskanych powiedzeń. Ojciec „chlał wódkę”, katarynka „rżała jak stara wychudła kobyła”, Feluś „kimał z piękną Jagą”, złodziej „kopcił machorkę”, ktoś tam „zachłystywał się iza-mi jak ciernikiem i kwaśnym barszczem”, nawet księżyc „wytknął łysą łepetynę”. U poetów takich np. jak Bruno Jasiński czy St. R. Stande tego rodzaju słownictwo traci manierę, zakrawa na robienie „proletariackiej krzepy”. U Kasprówicza brzmi autentycznie.

Więc „mały realizm”? By najmniej. Opisując śmierć swego ojca robotnika, który zginął w czasie strajku zmasakrowany przez granatową policję, Kasprówicza oświadcza:

„Pozostał po nim smyk hardy, Jedynek świadek naoczny”.

„Świadek naoczny” rozumie, że nie po proletariackich realiach bez rewolucyjnej świadomości. Wiersze



Antoni Kasprówicza

gęsto zastawione konkretnymi mają oddech klasowej walki, żyją całkowicie ideą. Program? Tak. Ale postawa Kasprówicza nie traci przesadną agitacją. Program wynika sam przez się z pokazanych faktów krzywdy i wyzysku. Czasem poeta silnie zaakcentuje swoją uczuciowość, zrywa się do krzyku, a my wierzymy, że to krzyk niepodrobiony. „Nie wolno, nie wolno nam teraz

Bezmyślnym i głuchym, Gdy słychać zgrzyt kości, szcęk żelaz, Gdy krzywy są jawne po prostu”.

Tak czuje świadomy proletariusz, który wychował się w atmosferze walki. Trzeba tu wskazać na rolę robotniczego miasta, głównego inspiratora wierszy Kasprówicza. Łódź w latach międzywojennych była obok Zagłębia kuźnia rewolucyjnych zmagani. Musiały one kształtować wrażliwość i świadomość wielu pisarzy m. in. A. Kasprówicza. W r. 1928 wybuchł w Łodzi strajk włóknarzy. Strajk ten przeradza się w generalny, obejmuje wszystkich ludzi pracy. Wydarzenia przyspieszyły proces dojrzalszości klasowej. Taki właśnie tytuł miał głośny reportaż z tych walk, ogłoszony w Miesięczniku Literackim: „Strach, który nas uświadomił”. W tej aurze politycznej walki powstał najlepszy zbiorek łódzkiego robotnika i czerwienią spluwa na chodnik („Krzyk z miasta”), zainicjował lewicowy ruch literacki w Łodzi i określił również wyściową postawę Kasprówi-

cza: czynną, napiętą, pełną bojowości.

Dalsze dwa tomiki zaskakują innością. Po twardych strofach nagły wybuch liryzmu, tkliwe pochylenie się nad urodą ziemi i kontemplacja piękna. Z płatniny fabrycznych uliczek, ze zgiełku maszyn i fetoru nędznych podwórzy poeta wyrwał się na szerokie pola i lasy. Mimo że wiersze te nie dorównują debiutowi, gdy chodzi o siłę słowa, a niekiedy zbliżają się niebezpiecznie do ogranych już wzorów — stanowią przecież pozycję ważną w dorobku poety. Świadczą bowiem o dopełnieniu „proletariackiego programu życia”, ujawniają, że ludzie strajków i barykad kochają ziemię ojczystą, umieją cieszyć się głęboko urokami życia. W pierwszym swoim wierszu Kasprówicza wyraża nadzieję — „może się jeszcze nakarmię gorącym słońcem do syta”. Właśnie w cyklu omawianym następuje zaspokojenie tego głodu.

Ostatnia część zbioru przynosi wiersze z naszego piętnastolecia. Tematyka właściwa polskiemu poecie, szczególnie zaangażowanemu: wspomnienia tragicznej wojny, odbudowa kraju, pochwała urody życia i pokoju. Proletariusz zyskuje obecnie ojczyznę — w pełni własną („przez proste serca miłowaną”). Świeci „zwykłość ludu i artysty”. Sporo tu utworów naprawdę ładnych, ujmujących prostotą i nasyconych ciepłym liryzmem.

Strofa staje się rzek by odbitej harmonijnej widze nia świata, oddycha spokojnie, wyraża uczucia utęsknione. W wierszu pt. „Wczasy” poeta pisze:

„Na wargach mam posmak żywiczny, wiośnach. Nad sercem — pogwizd liryczny

Odurzonego kosa”. W tej idyllicznej nieco tonacji utrzymany został cały cykl. W porównaniu z burzliwym huntuwiczem debiutem obserwujemy więc — uspokojenie.

Jest to zrozumiałe odprężenie po latach robotniczych walk i straszliwej wojny. Ale nie tylko to: w osobowości Kasprówicza czuje się jakąś nutę rozspiewaną, trochę sielankową „Rewolucyjny bard” kryje w sobie drugą postać: trochę świątkową, trochę św. Franciszka. Zwracam uwagę na tę właściwość poety. „Pogwizd liryczny” zarówno dużo obcuje jak i kryje w sobie niebezpieczeństwa dla Kasprówicza. Talent to erupcyjny, musi się starać o głębszą podbudowę intelektualną, inaczej dają się łatwo uwieść czarom pieśni.

Ala w r. 1957 wraca jednak Kasprówicza w „Poemacie łódzkim” do politycznych tradycji Łodzi. Wspomina walki robotnicze i stwierdza:

„Nie nadarmo szli nędzarze i głodni

W wir boją tkacze, murarze i przadki”.

Szkoda, że w omawianym zbiorze „Poemat” nie został przedrukowany w całości. Broniewski widzi w nim „załki epiki łódzkiej”. Przy-pomnę, że wartości epickie występowały też w próbie poematu „Życie i śmierć Jana Bloka”. Ogłosił go Kasprówicza w „Lewarze” w r. 1933. (Szkoda, że go teraz w zbiorze nie przypomniał). Broniewski daje wysoką ocenę możliwości epickich Kasprówicza. Pisząc o „epo-sie łódzkiej” zauważa: „Nie podobał mu Reymont ani Tuwim. Drapieżny i miejscami piękny wiersz Kasprówicza powinien sięgnąć po wielką dla niego szansę stworzenia „posagu pracy” — Łódź w jej historii i trwanie.

Tego Kasprówicza również życzę.

*) Antoni Kasprówicza. „Wiersze wybrane”. Słownem wstępnym opatrzył Władysław Broniewski. Wydawnictwo Łódzkie 1961 r.

Z kierownikiem artystycznym OPERY ŁÓDZKIEJ Antonim MAJAKIEM



Antoni Majak w „Faustie”
Fot. G. Puciato

Na zapleczu, w oddanej już części Teatru Wielkiego panuje ożywiony ruch. Spotykam wielu znanych z radia i sceny aktorów. W jednej z sal ćwiczy balet Opery Łódzkiej, w innej młoda orkiestra. Natomiast na zewnątrz, na budowie ruch jest raczej minimalny i nie napawa nadzieją, że w najbliższym czasie otworzą się podwoje Teatru Wielkiego. Jeśli chodzi o ospałość, skutecznie a nawet zwycięsko konkurujemy z budowniczymi gmachu Opery i Baletu w Warszawie. Tak więc Opera Łódzka będzie się jeszcze długo tułala z kolejnymi premierami po scenach Teatru Jaracza i Nowego. Tymczasem jednak ma już swoje mieszkanie i miejsce gdzie może spokojnie próbować. Tutaj też rozmawiamy z jej kierownikiem artystycznym Antonim Majakiem.

— Panie dyrektorze, co Pańskim zdaniem należy uznać za największe pozytywne w pracy Opery w ubiegłym sezonie?

— Przygotowaliśmy dwie bardzo poważne pozycje repertuarowe — „Fausta” i „Casanova”. W trakcie pracy nad nimi — co jest punktem bardzo ważnym — ogromnie podniosła się dyscyplina pracy artystycznej. Przystąpiliśmy nareszcie do organizowania własnej orkiestry, w czym wydatnie pomagają nam rektorzy PWSM — panowie Bacewicz i Wesolowski. W ciągu najbliższego roku orkiestra nasza zwiększy się do 45 osób, czyli osiągnie normalny skład.

— Czy są jakieś zmiany personalne w zespole?

— Odszedł jedynie Paulos Rapits. Nie będzie również śpiewał w tym sezonie Tadeusz Kopacki, który wyjeżdża na stypendium do Włoch. Zespół wokalny zwiększył się o kilku dobrych solistów. Są nimi Eugeniusz Mizioł, Delfina Ambroziak, Mirosława Szałajkowska, M. Drogomirecki i E. Kozowska. Zwiększył się również zespół baletu. Zaangażowali się do nas między innymi należący do czołówki polskiej Lucyna Sotomska i Jerzy Łukasik.

— Jakże są plany repertuarowe na najbliższy i dalsze sezony?

— Tegoroczny sezon otwieramy „Casanovą” Różyciego ze Spychalskim w roli tytułowej. Już w październiku damy drugą premierę. Będzie to balet Asafiewa „Fontanna Bachczyseraju” w choreografii Parnella, dekoracjach Kamińskiego i opracowaniu muzycznym Wojciechowskiego. Dalsze pozycje to kolejno: „Lacmé”, Delibesa, z Rudnicką i Ambroziak, „Verdum nobile” Moniuszki i „Wesele w Ojowie” Kurpińskiego (wspólnie przedstawienie). Jeśli nieprzewidziane okoliczności nie przesłaniają nam planów, to myślimy dalej o „Cyganerii” Pucciniego i „Rusalcie” Targomyskiego. Sezon w roku 1963 chcemy otworzyć „Hrabina” Stanisława Moniuszki.

— Krytyka i wszyscy miłośnicy Opery z wielkim uznaniem mówią o pana dotychczasowych osiągnięciach w pracy kierowniczej i reżyserkiej. Nam szczególnie ważne wydaje się pewne nowatorstwo dostrzeżone np. w inscenizacji „Fausta”. Może zechce Pan powiedzieć kilka słów na temat własnych koncepcji reżyserkich i osobistych planów artystycznych.

— Nie odpowiada mi forma w utarty sposób „opero-wa”. Staram się przedstawienia maksymalnie utracalnic, dążę do stworzenia teatru muzycznego w najlepszym tych słów znaczeniu. Niewiele mogę powiedzieć o osobistych planach. W bieżącym sezonie gościnnie śpiewam tylko w Filharmonii (w „Borysie Godunowie”) później w Bydgoszczy. Będę przygotowywał wszystkie kolejne pozycje w naszej Operze. Chcę właśnie temu poświęcić swoje siły, poświęcić cały nacisk na kierowaną przez mnie placówkę.



Łódzki zespół jazzowy „Tiger Rag”

Fot. Z. Przychodniak

MAREK WAWRZKIEWICZ

JAZZ na ZIEMI DZIEWICZEJ

Dobre to były czasy, kiedy o Łodzi mówiło się jak o mocarstwie jazzowym. Piekny choć nie bezpieczny okres „jazzu konspiracyjnego”, pionierstwa „Dudusia” Matuszkiewicza, potem nagły zwrot i nagły rozwój orkiestr gwałtownie rosnące licznie publiczności jazzowej.

A jeszcze później — jak to zwykle u nas w Łodzi bywa — emigracja do innych miast najlepszych muzyków, całych zespołów nawet.

Do historii już najnowszą należy ponowny okres rozwoju jazzu w naszym mieście. Datuje się on od powstania Jazz-Clubu „Storyville” pod patronatem ZMS. Równocześnie niemal powstała jedna z czołowych już w tej chwili orkiestr w Polsce „Tiger-Rag”, od początku pracująca

pod tym samym kierownictwem Andrzeja Orłowskiego.

„Tiger Rag” przełamuje pewną „zmowę milczenia” jaka w naszym mieście wiodła wokół jazzowej panuje.

III miejsce na Ogólnopolskim Festiwalu we Wrocławiu, II — na zorganizowanym przez ZMS przeglądzie zespołów artystycznych w Opolu — to są sukcesy o których się w Polsce już wie. Nic więc dziwnego, że błądzą do „Tiger Rag” zaproszenia na koncerty. Jedno z takich pism zapraszało ten zespół na występ w wol. rzeszowski. Rzeszowskie jest dla jazzu ziemią dziewiczą. Mimo wysokiej kultury muzycznej ludzi tych terenów jazz jest tam jeszcze nie znany. Stąd pewne pionierstwo „Tiger Rag”, przełamywanie twierdze-

ni, że jazz nie jest rozrywką dla mas najszerzych.

Roman Turek, pisarz chłopski, laureat nagrody kulturalnej woj. rzeszowskiego (to samo województwo nagrodziło w tym roku Juliana Przybosa — poeta ten urodził się na Rzeszowszczyźnie) od lat kilkudziesięciu mieszka w Łodzi. Zna tu wszystkich i wszyscy go wzajemnie znają. Napisał książkę — pamiętnik, opisał swoje życie, życie znajomych, miasteczka Książka zniknęła z księgarni w przeciągu jednego dnia. Ludzie mówią o niej. Nie podnoszą oczywiście artystycznych walorów. Powiadają: „Pravda napisal”. Książka jest dobra bo jest prawdziwa. I mówią jeszcze: „Ale się nad nią nakłócał”. (Turek disse kłócał). Niepowtarzalna atmosfera poufałości między pisarzem a czytelnikiem.

Autobus polskiej produkcji „SAN” (produkują się je w Rzeszowszczyźnie, w Sanoku) z pewnością nie są szczytowym osiągnięciem techniki XX wieku. Przeróżny loskot, zgrzyty, skrzypienia — wygląda to tak,

Tutaj miasta dzieli się na dwie części. Dwa prawie własne życie żyjące miasta. Przykład: Mielec. Jeden z głównych ośrodków przemysłowych w woj. rzeszowskim. Mówi się tu: „Stary Mielec” i „Osiedle”. Stary Mielec jest typowym przykładem małego miasteczka. Rynek zamieniony w skwer, niskie jednopiętrowe domki, miasteczko bez akcentu, ale z czymś dla siebie bardzo charakterystycznym. A półtora kilometra dalej „Osiedle”. Ta nazwa może mylić. Mieszka tu bowiem przynajmniej trzy czwarte ludności całego miasta. Budowano ten Mielec hurtowo, na akord i pewnie dlatego tak łatwo zabłądzić. Jednakowe ulice, jednakowe nie otykowane bloki z czerwonej, przybudzonej już mocno cegły. W centrum Osiedla wielki gmach i wielki plac przed nim — trochę to wszystko przypomina Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. I trochę w tym prawdy — istotnie mieści się tu Dom Kultury.

Czy ktoś słyszał nazwę Sedziszów Małopolski? Tępyłec mówił o swoim miasteczku: „Jak się ktoś połozży na rynku, to mu no-

mi. Jestem uwrażliwiony na punkcie kultury muzycznej ludzi tych okolic.

Biecz. No, to widać na pierwszy rzut oka, tutaj nareszcie zapokojone swoje ciało w atmosferze małych miasteczek. Ratusz z wysoka, średniowieczna wieża, klasztor, wysoki brzoź zastrutej siaraka Wisłoki, kino nazywa się tu „Paryż”. Książka — Gospoda Ludowa nr 1. (Książka numer dwa nie ma). Miejsce, gdzie się nie je, miejsce gdzie się pije. W niedziele, zaraz po sumie, zbiera się tu ludność miasta i najbliższych okolic. Najczęściej mekka. O modę polską! Te watowane dwurzędowy, granatowe w białe pasieczki! Te sławne buty pan-cerne, sztywne podwójnie i potrójnie! Te frizury bujne i kunsztowne. I te ręcznie malowane kraty. Wszystko to w drgającym nad miasteczkiem upale.

Jak tu europejsko! Tyle sklepów, wystaw, można coś zjeść, można nawet dostać lodu. Prawie metropolia — Dehica. W lesie za imponującym stadionem kwiatów „Parkowa”. Otoczenie sprawia, że mamy chęć rozmawiać nawet o sztuce, o poezji. Roz-

Lecz się tu przeważnie dzieje. Jest akurat 22 lipca. W związku z tym dzieci maszerują parami, wszystkie mają na głowach kolorowe czapki z bibułki, w rekach białoczerwone cnotagiewki.

„Tiger Rag” gra w Sanoku. Najlepszy koncert z tych, które słyszałem. Bardzo dobra, wyrobiona publiczność i cała grupa przebiegająca tu na wycieczkę lodzian. Już przy prezentacji członkowie zespołu i soliści witali się gromkimi brawami. A potem jeszcze owacje po każdej solówce. Temperatura prawie dwudziestokilowa, ho też chłopcy grali dzisiaj znakomicie. Andrzej Orłowski, kierownik zespołu szaleje przy perkusji świetnie bardzo bogato technicznie gra na trabce Andrzej Makowiecki, wyjątkowo dobrze czując się dzisiaj w plekym nowo-orleańskim bluesie. Reszta zespołu: jeden z najlepszych w Polsce klarncistów Zbigniew Wojciechowski, Wacław Rejzler (hanoj), Ryszard Hunger (bas) i Andrzej Szczepański (puzon). Konferansjerem prowadził Ryszard Herski. Dwa słowa o solistach: Krystyna Pabich z rzadko spotykana precyzją i uczuciem interpretująca stare przeboje i Jerzy Bózk — ten monopolizuje zwyczaj wszystkie bisy.

„Galicia”, to centrum przedwojennej emigracji. Wyjeżdżali stąd ludzie, całymi tysiącami, wygnani przez typową galicyjską biedę. Teraz wracają. Niekiedy na stałe, niekiedy aby odwiedzić rodziny. Śmiesznie mówią po polsku, jakoś twardo a zarazem niepewnie, szukają słów. Wszyscy stwierdzają, że jest teraz „naceł”, że zmieniło się wszystko. Mówią: „Ja widzę, że stona życia w porównaniu z rokiem 1927 podniosła się o 200 procent”. Sa też inne rozmowy, inne obrazy. Na chodniku stoi przeciętnie biednie ubrany chłop ze wsi: pod-sańockiej. Obok chodnika ol-brzymi, luksusowy, amerykański, krążownik dróg. Właściciel tego samochodu jest krzykliwe, nie po polsku ubrany. Zaskoczenie: rozmawiała z sobą per ty. Siedzi z jednej wioski...

Jeszcze raz Rymanów. Pożeczka „Jam seson”. Kwiaty, trochę alkoholu i nieoficjalny, naicieleń przyjeździe koncert. Kończy się ten miły pobyt. Kłóczy się seans pt. „Jazz na ziemi dziewiczej”. Coraz częściej odkry-wane!

Rymanów to już wstęp do Bieszczad. Leży w kotlinie między dość przyszwicie wysokimi górami. Po prawej stronie wieś, położona po obu stronach asfaltowej szosy, po lewej — skromny wprawdzie, ale zawsze kurort.

Ogólna konsternacja. Pow-szechnie znany był spisany w Wyszakowie 9 maja 1655 r. testament, w którym zmarły król Złotoni ustanowił generalny spadek i obywateli Jana Kazimierza, swego brata. Tymczasem cesarz powoływał się na spisany jakoby w Warszawie 10 kwietnia 1652 roku akt ostatniej woli, w którym król Złotoni zrzekał się na wypadek swej śmierci obu księstw na rzecz cesarza, zobowiązując go tylko do wypłacenia ojcom jezuitom ol-brzmiennego legatu w sumie 600 tysięcy złotych. (Trzeba pamiętać, że ówczesny złoty polski posiadał siłę nabywczą kilkakrotnie większą od dzisiejszego).

Wprawdzie wiadano w Polsce, że Karol Ferdynand napisał w swoim czasie jakiś testament, który później zniszczył, ale było zgola nieprawdopodobne, aby jako sukcesorów ustanowił cesarza i ojców jezuitów. Ponadto pre-tenzie cesarskie w dziedzinie po śmierci królewicza wyda-ły się wszystkim dziwne i po-dejrzane. A wreszcie, sprawa z punktu widzenia prawnego przedstawiała się jasno jak słonce. Bowiem gdyby na wet testament z 1652 był au-tyentyczny, to i tak w myśl obowiązujących przepisów prawa został on anulowany, czyli obalony przez drugi testament, późniejszy, z roku 1655, ustanawiający dziedzicem — Jana Kazimierza. Tak rozumowano na królewskim dworze. Na to austriacki dy-plomata poprosił z ironicz-nym uśmieszkiem o przedsta-wienie mu i okazanie drugie-go, późniejszego testamentu.

I oto rozpoczęło energiczne poszukiwania testamentu kró-lewicza Karola Ferdynanda. Ludwika Maria przypomniała sobie, że przed laty testament ów wraz z aktami ostatniej woli Złotoni III i Władysława IV złożyła na prze-chowanie u swego spowied-nika, ojca jezuity Lerichona, zmarłego prze rok. Prze-prowadzone śledztwo wykaza-ło, że po śmierci spowied-

nika królowej wszystkie pa-piery zabrali jego przełożeni. Dwór królewski wystąpił do Złotoni z kategorycznym żądaniem zwrotu dokumentów złożonych ojcu jezuitcie Lerichonowi. Jakoż niebawem „odnalazł się” testament Władysława IV. Nieco później na uprzączywe naeganie dworu „odnalazł się” również testa-ment. Zygmunt III. Nato-miast testamentu Karola Fer-dynanda nie można było... „odnalazł”. Przepadł jak kamień w wodę.

Dalsze śledztwo wykazało, że testament z roku 1652, na który powoływał się cesarz był po prostu sfałszowany przez Złotoni, któremu szło o wyciągnięcie dla siebie lega-tu pieniężnego. Aby utrudnić udowodnienie fałszerstwa, oi-cowie sporządzili notarialny odpis testamentu, zaś sfałszowany dokument zniszczyli względnie ukryli w bezpiecznym miejscu. Następnie porozumieli się z cesarzem. Naturalnie, począwszy katolicki monarcha austriacki, który z pewnością był wjaemniczony w jezuitckie machinacje, zagwarantował Złotoni, że z chwilą powrotu ziem śląskich pod berło Habsburgów legat będzie Towarzystwu Je-zusowskiemu wypłacony.

Choćby więc dwór polski był przekonany o sfałszowa-niu testamentu, należało prze-prowadzić w Wiedniu i na arenie międzynarodowej od-powiednią kampanię, która by wykazała bezpodstawność żąd-ani cesarskich i jezuitckich. Tymczasem Warszawa została zaskoczona w związku z tą sprawą arcydziwnymi wypad-kami. Ale o tym już w na-stępnym felietonie.

AKTUALNOŚCI
STAROPOLSKIE

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Sfałszowany testament

Nasze Ziemie Zachodnie cieszą się w dalszym ciągu zrozumiałym i godnym uznania zainteresowaniem społeczeństwa. Warto więc tu przypomnieć sensacyjną intrygę XVII-wieczną, jaką uknuł wielki ojciec jezuit na tle dziedziczenia dawnego Księstwa Opolskiego i Raciborskiego czyli dzisiejszego Śląska.

W powszechnym, błędnym mniemaniu przyjmuje się, że Śląsk od sześciu czy nawet od siedmiu wieków znajdował się w obcych rękach i że już od czasów piastowskich zostały zerwane stosunki gospodarcze, polityczne, i kulturalne łączące tę prastarą polską krainę z resztą ziem Rzeczypospolitej. A przecież jeszcze za Jagiellonów utrzymymano stałe i żywe kontakty pomiędzy Wrocławiem a Krakowem. Na przełomie XV i XVII wieku Śląsk był w olbrzymiej większości zaludniony przez żywioł polski. Chłopi, mieszczaństwo, przeważająca część szlachty i niższego duchowieństwa mówiła po polsku. Tylko nieliczni koloniści po miastach reprezentowali niemieckie. Zresztą germanizacja szła od góry: wszystkie urzędy i wyższe

stanowiska duchowne poobsa-dzane były przez Niemców. Tak narzucona temu krajowi powłoka niemieczyny była cienka i słaba; wystarczyłoby kilkunastu lat zespolenia z macierzą i wszystkie obce naleciałości zniknęłyby bez śladu. A w połowie XVII wieku istniała jeszcze możliwość przyłączenia Śląska do Korony. Niestety, zarówno ze stró-ny braci szlacheckiej, jak i ze strony małżonek królów polskich, cudzoziemek (które miały coś niecoś do powie-dzenia w tej materii) brakło zrozumienia dla ważności sprawy śląskiej. Na domiar złego intryga jezuita pozbawiła nas wtedy nawet tej niewielkiej części Śląska, którą z tytułu zastawu dzierży-li królowie polscy.

I oto mija 295 lat od chwili, gdy na zamku opolskim w czasie hucznej biesiady komisarze polscy przekazali władzę nad Ziemią Śląską do rąk dygnitarzy austriackich. Wów-czas to zaprzepaszczone po raz ostatni i na długo w dzie-jach Rzeczypospolitej szla-checkiej możliwości przyłą-czenia księstwa opolskiego i raciborskiego do Korony.

Położony na rubieżach ce-sarstwa Śląsk zawsze był trak-towany przez Habsburgów po macoszemu. Zagrożeni w posiadaniu ziem rdzennie nie-mieckich w czasie wojny trzy-dziestoletniej zaczęli szukać sprzymierzeńców wśród państw ościennych. Rzecz-nieurodzonych arcyksięż-niczek dla możliwych kawalerów, a ziemie śląskie dla żonatych władców miały być nagrodą za pomoc udzieloną wojskom

cesarskim w wojnie z prote-stantami. Nic więc dziwnego, że ziemie górnośląskie często zmieniały właścicieli. Przez pewien czas wadał nimi z łaski cesarza książę Siedmiogrodu Bethlen Gabor, kiedy indziej rządzili tam jacyś pa-nowie lub książęta austriac-cy. Ponoć nawet samego Wal-lensteina ludzono mirażami śląskimi.

Również i polski sąsiad jak-o pożądanym sprzymierzenie-cem w przewlekłej trzydziesto-letniej wojnie był kuszony na-przeżmian wątpliwymi wdzie-kami austriackich arcyksięż-niczek lub widokami oddania Śląska. Wytorzyła się więc taka sytuacja, że bez więk-szych trudności i bez kompli-kacji międzynarodowych moż-na było odzyskać oba księ-stwa opolskie i raciborskie. Sami Ślązacy wyciągali ręce do Polski błagając o pomoc. Niestety, ultra-katolicki szwa-gier dworu cesarskiego, Zygmunt III potrafił tylko karcić niesfornych poddanych, bu-nujących się przeciwko poboż-nemu władcy wiedeńskiemu.

Więcej zrozumienia dla tej sprawy okazał król Władysław IV. Sytuacja jednak była i teraz znacznie trudniejsza. Mimo to energiczny król do-prowadził do tego, że cesarz zgodził się oddać Polsce na 50 lat dzisiejszy Śląsk tytułem zastawu na zabezpieczenie nie-wypłaconych dotąd posagów żon habsburskich. Zygmunt III i posagu Cecylii Renaty. Zastaw miał charakter pry-watny, warunki umowy były dość ciężkie, ale wspólność granic, języka i obyczajów mieszkalców rokowały nadzie-ję, że po tych dziesięciu la-

tach Śląsk zrośnie się już nierozdzielnie z macierzą.

Ujemna strona transakcji polegała między innymi na tym, że oba księstwa pozostawały w prywatnym zarzą-dzie króla, i jak należało się spodziewać były traktowane jako schedy w podziałach i familijnych rozgrywkach Wa-zów. Ujawniło się to z całą jaskrawością w trzy lata póź-niej, w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV. Jako kandydaci do tronu wystąpi-li dwaj bracia zmarłego kró-la, kardynał Jan Kazimierz oraz biskup wrocławski Karol Ferdynand. Rywalizacja zakończyła się układem polu-bownym: koronę wziął starszy brat, Jan Kazimierz; przy młodszym, Karolu Ferdynan-dzie, pozostały oba księstwa śląskie.

Nowy posiadacz Śląska roz-stał się w maju 1655 roku z tym światem. Zgodnie z prawem spadkowym i testamen-tem zmarłego oba księstwa miały przypaść w udziale Jan-owi Kazimierzowi, przez co znów zostałyby połączone z Polską. Wprawdzie Jan Kazi-mierz oddał odziedziczone ziemie żonie swojej, Ludwice-Marii, ale w praktyce unia Śląska z Polską została utr-zymana.

Nagle — grom z jasnego nieba. Zima 1665 roku zjawia się w Warszawie dyploma-tyczny przedstawiciel dworu austriackiego, magnat cze-ski Franciszek Urik hrabia Kinsky, który powołując się na nikomu nie znany testament królewicza Karola Ferdynan-da z 1652 roku domaga się wydania księstwa opolskiego i raciborskiego cesarzowi.

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa powiedzieli nam:

W Oddziale Łódzkim PSM.

Nasz oddział TSM liczy ponad 34 członków. Wśród nich są takie nazwiska jak Zofia Bartnicka, Eugeniusz Aienicki, Edward Rosset, Michałina Tatarówna-Majkowska i inni. Celem naszym jest walka o kulturę życia seksualnego i pomoc rodzinie w tym wszystkim, co jest z tym życiem związane. Zanimujemy się takimi zagadnieniami jak:

1. Zapobieganie niepożądanego ciąża.
2. Leczenie niepłodności.
3. Poradnictwo przedmażeńskie.
4. Leczenie zaburzeń seksualnych.
5. Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży.

Przewodzą szeroko zakrojoną akcję uświadamiania społeczeństwa przy pomocy odczytów, pogadanek i filmów. Korzystamy z pomocy przykładowych przychodni lekarskich. Takich ośrodków istniejących przeważnie przy większych zakładach pracy istnieją w tej chwili 17. Powoli zyskujemy coraz to większą liczbę pacjentów. Ludziom jeszcze trudno zerwać z zakorzenioną od dawna pseudowiedzy. Z dnia na dzień jednak liczba osób zgłaszających się po poradę zwiększa się.

P. Roman Kaczmarek, student, lat 22.

To chyba rzecz oczywista, że istnienie TSM jest rzeczą pożyteczną i konieczną. Tyle jest

jeszcze u nas zacofania i ciemnoty w sprawach życia seksualnego, że naprawić to może tylko tego rodzaju instytucja. Sam byłem dziewczętym z koleżankami i wiem jak trudno jest wyżyć i wychować taką gromadkę. Pamiętam, że każda rozmowa matki z ojcem na ten temat kończyła się nieuchronnym — „Bóg dał to i Bóg pomoże”. Myśle, że TSM powinno rozpocząć swą akcję przede wszystkim na wsłach i to tych zabitych dekami.

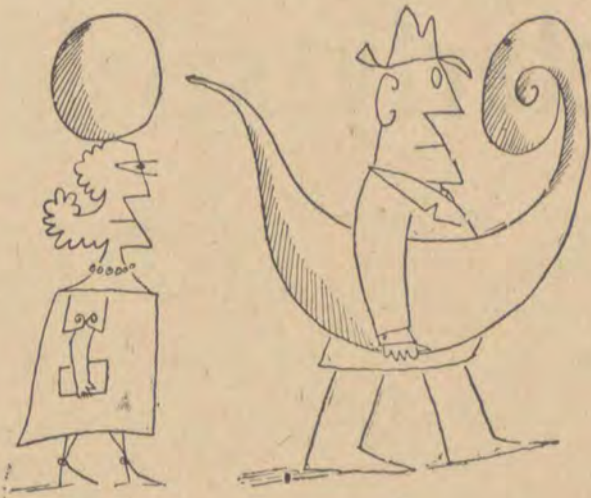
P. Irena D., lat 62, babcia trojga wnucząt.

Ja uważam, że te wszystkie porady i orzeczenia nie są wcale potrzebne. Za czasów mojej młodości ludzie się dobierali bez pomocy różnych specjalistów i wszystko było dobrze. A mogę powiedzieć, że była nawet lepiej. Nie było tyle rozwodów i każdy nawet jak miał spora gromadkę dzieci to tak je chował, że na starość miał z nich pożytek.

Co tam taki obojętny lekarz może wiedzieć czy młodzi się do siebie nadają czy nie. Oni sami wiedzą to najlepiej.

Rozmawiał LUV

Najostrzejsze ołówki świata



77 DZIWNY STEINBERG

Niektórzy Czytelnicy pamiętają zapewne, że w lutym br. „Przekrój” wydrukował kilka niezwykle ryśunków Saula Steinberga, wyjętych z jego najnowszego tomu, pt. „Labirynt”.

Jak się okazuje, skomplikowana stylistyka żartów „Labiryntu” nie była przełotnym kaprysem wielkiego rysownika amerykańskiego. Oto w jednym z lipcowych numerów tygodnika „New

Yorker” Steinberg opublikował serię dowcipów, które są konsekwentnym potwierdzeniem formuły wspomnianego tomu. Niektóre z tych żartów prezentujemy.

Zalować należy, że brak miejsca nie pozwala na przedstawić całej serii rysunków, powtarzających w różnych wariantach stale ten sam motyw „znak zapytania”, ale już te parę przykładów jakże wymownie świadczą o niebywalej wyobraźni i pomysłowości humorysty.

W „nowym stylu” Steinberga jest wiele wyrazów, ale da się też odczuć — silniej niż w poprzednim okresie jego twórczości — wyraźne podteksty. Czasem są to próby zasyfrowania w prostej anegdotce kluczowych problemów filozoficznych, czasem — tylko igraszką graficzną: wszystko razem zostawia jednak posmak pewnego niepokoju.

Obsesja pytańników budzi uśmiech, jawna drwina z morderczych surrealistów — ale i zmusza do zastanowienia.

(jert)

PIÓRKIEM PO AKTUALNOŚCIACH

W „Expressie Ilustrowanym” z dnia 20 sierpnia br. przeczytaliśmy co następuje:

Podczas burzy w Tatrach zdarzył się niespotykany wypadek uderzenia piorunu w jaskinię w chwili, gdy 7-osobowa grupa grotolazów wychodziła po metalowej drabinie na powierzchnię. Na szczęście, w tym momencie nie było na drabinie nikogo.

Wychodzili po metalowej drabinie, a nie było na niej nikogo. Ciekawe, gdzie był reporter, gdy pisał tę rewelacyjną wiadomość?

Reklamowy czterowieś z lipcowego numeru „Piórka”:
„Kto odkłada w SKO, będzie pić kakao.”

A kto ma szeroki gest, ten bez grosza zawsze jest.”

W przeciwieństwie do autora w.w. czterowieś, który dzięki takim i tym podobnym „utworom” ma nie tyle grosze, co ciężkie złotówki.

„Odgłosy” zamieścili w nrze 20 komunikat treści następującej:

„Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi łącznie z Oddziałem Łódzkim Związku Literatów Polskich ogłasza ogólnopolski konkurs dla dzieci o tematyce dowolnej.”

A potem wyrzekamy, że młodzież jest przedwcześnie dojrzała.

W Łodzi (a chyba i poza nią) rozpoczął niedawno swoje produkcje kabaret „Biedronka”. „Biedronka” jest nakropiona barwnym, soczystym, wypróbowanym humorem estradowym, którego małą próbkę pozwalamy sobie przytoczyć.

Konferansjer podaje jedną część jakiegoś znanego nazwiska, publiczność ma za zadanie odgadnąć część drugą:

Konferansjer: Maria Curie...
Publiczność: Skłodowska.
Konferansjer: Jan Dąb...
Publiczność: Kociol.
Konferansjer: Kazimierz Tetmajer...
Publiczność: Przerwa.
Konferansjer: No właśnie. Dziesięć minut przerwy.
Ze też nie może być przerwy dla tego rodzaju działalności estradowej.

T.G-r

STEINBERG



Raz bandyta...

Raz bandyta przy hazardzie
Kompanowi podciął gardziel,
Ten, rżąc trochę,
Rzekł: „Jestem Włochem!”
I grał dalej, Jeszcze bardziej.



ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka literacka. Jak wiadomo istnieją utwory różnych autorów noszące podobne lub identyczne tytuły. Zadaniem Czytelników będzie zatem wybrać z dwu poniższych zestawów odpowiednio nazwiska i odpowiadające im tytuły.

TYTUŁY: „Noce i dnie”, „Dni i noce”, „Boska komedia”, „Nieboska komedia”, „Burza”, „Burza”, „Zorany ugor”, „Orka na ugorze”.

PISARZE: Szolochow, Szekspir, Dante, Dąbrowska, Erenburg, Wiktor, Krasinski, Simonow.

Rozwiązania wyłącznie na kartach pocztowych należy nadsyłać na adres „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96.

WIL

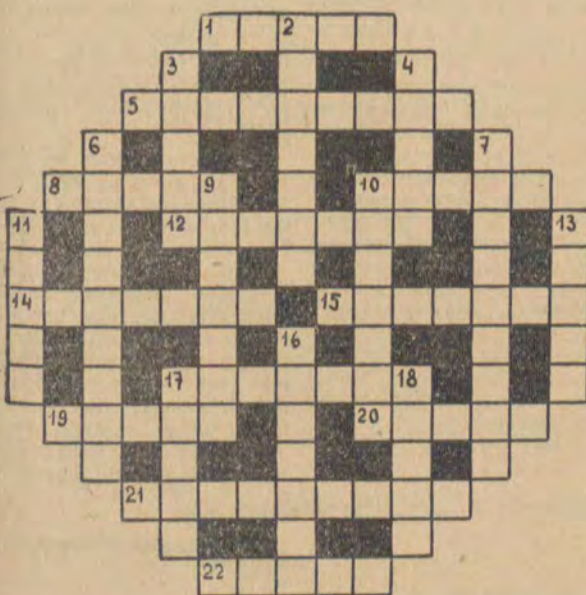
Zgoda, wezmę...

Zgoda, wezmę Twoje wdzięki,
Prócz jednego:
Twojej ręki.

Mieczysław Voit
PRZYKŁADNIKI



Nasza KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

POZIOMO — 1) Kompozytor węgierski, 5) Nauka badająca powłokę ziemską, 8) Krzak, 10) Pasza, 12) Łączność, zerknięcie się, 14) Narodowość europejska, 15) Imię meskie, 17) Praktycznie istniejąca w stanie wojny, ale bardzo nie trwałą grupa dwuwartościowa

CH, 19) Imię meskie, 20) Zart, 21) Wniosek rozmowy, 22) Dar łatwej i pięknej, porwijącej wymowy.

PIONOWO — 2) Aromatyczny napój, 3) Nocny ptak owa dożery wróblowaty, 4) Górna granica wydatków ustalona przez instytucje nadzórne dla jednostek planujących, 6) Au-

tor dzieł scenicznych, 7) Przyrząd zapisujący automatycznie kierunek i predkość wiatru, 9) Zwój papierowy lub pergaminowy, pierwowzór postaci książkowej, 10) Sinek, zrynek, 11) Przyrząd mechaniczny lub ręczny do wbijania pali, ubijania dróg itp., 13) Trawnik, 16) Konkurentka, 17) Bar dzo trwałe i twarde drzewo używane do wyrobu mebli oraz części maszyn, 18) Narodowość.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.
Rozwiązanie krzyżówki z numeru 28.

POZIOMO — szarada, kwadrat, antena, Alina, kolos, balon, podłoga, rondo, notes, rozśada, trakt, laska, klops, szarak, kanapa, tatarak.

PIONOWO — zorza, Dania, palto, werwa, kino, auto, Białystok, karat, linia, sport, banana, lotos niska, rypś, Kozak, arkan, kawa, kłapa, Skawa.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Dorota Wojnarówna, Piaseczno k. Warszawy, ul. Starepolska 15.
2. Leszek Borsuk, Łódź, ul. Narutowicza 94 m. 9

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79 * Warunki prenumeracji: miesięcznie zł 4,-; kwartalnie zł 12,- * Redakcja nie zamawia reklam, wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 2639.1X L-4

ZBIGNIEW NIEACKO

Wolek JUDASZÓW

Koło miasteczka R. w woj. łódzkim, na terenach opanowanych przez bandy w 1946 roku, odnaleziono spadochron z angielskimi napisami. W tym samym czasie człowiek o imieniu Albert wsiadł do pociągu jadącego do R. Na pociąg zorganizowano napad, Albert poznał młodą kobietę, która współdziałała z bandą. W R. Albert wynajął pokój z willi majorowej Raczyńskiej. W nocy wymknął się z willi i na moście spotkał w samochodzie mężczyznę imieniem Mikolaj, od którego otrzymał plik dolarów i list polecający do klasztoru. Albert i Mikolaj rozmawiają w samochodzie o konieczności zlikwidowania portiera o pseudonimie „Lelak nocny” z hotelu, i o jakimś „Kryształowym Zwierciadle”.

Mikolaj szarpnął kierownicę. Znowu zjechał na krawędź szosy, przycisnął hamulec.

— Do diabła — zawołał ze złością. — Tym razem mi się nie wywiniesz, skoro muszę z tobą pracować, niechże chociaż poznasz historię tych angielskich magików.

Puść że trochę pary z gęby. — Nie opowiem ci, bo zaczynaś drwić. „Anioł Uriel”, „Anioł Gabriel”, to naprawdę brzmi bardzo śmiesznie. Pomyślisz, że ze strachu rozum mi się pomieszał.

— A mówileś kiedyś, że to szpiegowska historia?

— No tak, bo dawniej szpiegdy posługiwali się aniołami.

Mikolaj obraził się. Mruknął coś, zapalił papierosa i wcisnął się w kąt samochodu.

— Na tronie polskim siedział wówczas Stefan Batory — znużony głosem zaczął Albert. — Było to okres, gdy, jak mówią historycy, blask jego chwaly wojennej zaczynał powoli przegasać. W rosnącej potęgę Batorego magnateria i szlachta widziała niebezpieczeństwo dla swych swobód. Lękano się, aby nie zdeptał „złotej wolności” i nie stał się królem samowładnym. Zdradą, spiskiem, oszczerstwem starano się osłabić potęgę króla. Ujawnił się spisek Samuela Zborowskiego. Godzono na króla pod czas „weselnych godów Gryzeldy z Zamojskim, na życie Batorego czyhali zamachowcy w Borach Niepołomickich, urządzono nań zasadzkę w czasie przejazdu do Grodna. Batory stawiał się coraz bardziej gniewny i rozdrażniony.

— Miałeś opowiadać o aniołach — zauważył Mikolaj.

— Po kraju kręca się szpiegdy tureccy i moskiewscy. Spiskująca magnateria, warcholska szlachta, dookoła zaś mocarstwo gotowe w każdej chwili rzucić się na Polskę i rozszarpać ją w kawałki. Tak przedstawiała się sytuacja polityczna, gdy pewnego zimowego dnia przybyli do Polski dwaj naocznie najwięksi astrologowie i al-

chemicy, mistrzowie Czarnej Magii. Anglicy — John Dee i Edward Kelley. Co ich sprowadziło do Polski? Już w samym fakcie tej podróży jest coś niepokojącego. I nie będzie chyba bardzo dalekim od prawdy, jeśli powiem, że podróż ta wiąże się z ową niewesołą sytuacją króla i wieściami o zamachach na jego życie. Historia zresztą dała nam w tej sprawie wyraźne sugestie. Wraz z Dee i Kelley'em przyjechał do Polski Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki. Syn jednego z najświetniejszych rodów magnackich, światowiec oświecający zagraniczne dwory swą fantazją, wytwornością, elegancją, wiedzą, rozumem i inteligencją. Dworak wspaniały, wytrawny polityk, intrygant, awanturnik, hulaka, wielki wódz. Ziałomity orator, galant, alchemik... Był Olbracht Łaski największym bodaj przeciwnikiem Batorego, sam zresztą pretendował do korony polskiej. Pojednanym z Batorym wracał z Anglii do Polski w towarzystwie czarnoksiężników, Kelley'a i Dee. Do jakich celów zamierzał ich użyć? Przeciwnikowi pragnął pożytkować ich wiedzę tajemną i straszliwe zjawy, które na każde żądanie mistrza Dee pojawiały się na kryształowej tarczy oprawionej w złote ramy. Nigdy nie rozstawał się Dee z tą tarczą i ze specjalnym stołem zwanym „świętym”, bo zbudowano go na życzenie „Anioła Gabriela”. Pośrodku tego stołu znajdowała się pieczęć woskowa ułożona z kwadratów i hieroglifów...

— Nareszcie będzie o aniołach — westchnął Mikolaj.

— Nie, nie będzie. Dostę na dzisiaj — burknął. Nagle wydał się sobie śmieszny z tą dziwną historią opowiadana o krok od śmierci. Ogarnęło Alberta nie przeżywane dotąd uczucie. Był jak Edward Kelley czymś „miedium”. Zdawało mu się, że widzi przysłać i jak straszne zjawy oglądał zwaly trupów, których stanie się sprawcą.

— Zawieź mnie do miasta, Mikolaju. Jestem zmęczony — szepnął.

— Otworzyła mu drzwi majorowa Raczyńska. Mimo spóźnionej pory była jeszcze ubrana w suknie. W hallu paliła się lampa, na stoliku stały dwie niedopite filiżanki czarnej kawy.

— Wraca pan z randki, prawda? A był pan taki strudzony...

— Spałem kilka godzin. Obudziłem się z okropnym bólem głowy. Naśkuteczniejsze lekarstwo to spacer. Randka? Mój Boże, już jestem chyba trochę za stary...

— Pan żartuje. Tak przystojny mężczyzna... — zawołała majorowa.

— Proszę spać. W kuchni zostało jeszcze trochę gorącej kawy. Pozarował mnie pan. Znowu musiałam architekta zabawić rozmową...

— To ciężki obowiązek?

— Wybuchnęła śmiechem. Raptem spoważniała. Podniosła ręce, jak by chcąc poprawić włosy. Scisnęła palcami skronie.

— Boję się go...

I nim zdążył wyrzucić zdzi-

wienie, wybiegła do kuchni. Wróciła z dzbankiem i czystą filiżanką. Już od drzwi mówiła pośpiesznie, dając mu do zrozumienia, aby zapomniał o tym, co jej się nieopatrznie wyrwało.

— Nasz architekt powtórzył mi ciekawą wiadomość. Nie wierzę w nią. Tyle się już plotek słyszało. Nasze miasteczko jest okropnie plotkarskie.

— Słucham panią.

— Podobno, wczoraj nad ranem, pod lasem koło klasztoru w Dąbrowie, Urząd Bezpieczeństwa odnalazł spadochron z angielskimi napisami.

— Skoczek?

— Kto to może wiedzieć? Może jakiś łącznik do „Rokity”. Albo szpieg. Podobno w pobliżu naszego miasteczka ma powstać jakaś wielka fabryka. Pan słyszał o Rokicie?

— Trochę.

— Dowódca oddziału leśnego. Trzy czwarte powiatu zarastają ogromne lasy. Za czasów „Perkuna” w lesie było podobno dziesięć tysięcy wojska. Czytał pan chyba w gazetach o procesie sztabu „Perkuna”?

— Czytałem.

— No, właśnie. Och, jak ja nienawidzę polityki. Wszystkie zło z niej płynie. Skończyła się wojna, a ani chwili spokoju. Krew i krew, znowu gina ludź. Wczoraj napadli na pociąg, zabili kilku ludzi, zrabowali milion złotych. Teraz ten szpieg. Po co go rzucili? W miasteczku każda nowa twarz budzi podejrzenie...

Urwała. Uważnym spojrzeniem badała twarz Alberta. Milczał. Wolnymi drobnymi łykami pił czarna kawę. Majorowa niespokojnie poruszała się w fotelu.

— Na ile lat, proszę pana, starczy jeszcze mojej urrody? — zapytała napaśliwie. — O, czas jest okrutny, proszę pana. Trzy lata więzienia dają bez wiekszych ceregieli, za najmniejszą pomoc okazaną podziemi. Lata więzienia liczą się podwójnie, potrójnie...

Albert odsunął od siebie filiżankę. Sięgnął do kieszeni marynarki.

— Zapewne chcecie mnie pani zameldować. Proszę, tu mam dowód osobisty. Stara niemiecka kenkarte. Jest w niej również odcinek zameldowania z moim warszawskim adresem.

— Albert spał do południa. Potem wykapal się, zjadł obiad przyniesiony mu do pokoju, zebrał się w clemny garnitur, wyjął z walizki małą teczkę skórzaną, wrzucił do niej dwie książki i brulion z notatkami.

W hallu stały dwie walizki i plecak, w korytarzu zdejmował płaszcz wysoki, szczupły mężczyzna z perkatym, czerwonym nosem i siwymi skroniami. Po płaszczem miał wojskowy frenez.

— Jestem jak polamany. Plecak i walizki ręce mi wyrwały — stękał obmacując palcami swe ramiona. — Cała noc obliczony jak wielki błąd przedzieram się przez

lasy. Jechaliśmy samochodem osobowym. Zatrzymali nas. Szofera zabili, kolegę mojego zabrał w las. Co się z nim stało, nie wiem, dopiero rano wskazano mi szosę do miasteczka.

— Nie zrabowali panu walizek? — zdziwiła się majorowa.

— Eee, nie ma w nich nic cennego. Bielizna i trochę instrumentów pomiarowych. Chłopi piszą podania do ministerstwa, żeby im pomierzyć grunta, bo podatki niewłaściwie obliczane. Ale jak w takich warunkach pracować?

Przedstawił się Albertowi, jako geometra Ryczałtowski. Majorowa prawie ze strachem wymieniła zawrotną sumę, za którą zgadzała się wynająć pokój. Ryczałtowski kiwnął głową.

— U mnie się płaci z góry — zaznaczyła. Geometra nie budził w niej zaufania.

Z tylnej kieszeni wyjął grubą plik banknotów. Odliczył kilka papierków.

— Nienawidzę hoteli. Wole zapać trochę drożej, byłem miał sen spokojny. Jeszcze w Warszawie podano mi pani adres.

— Niemniej? — przeraziła się majorowa. — Kto panu o mnie powiedział?

— Ach, to nieważne. W każdym razie człowiek godny zaufania. Proszę się nie niepokoić — pocałował majorową w rękę.

— A pan od dawna tu mieszka? — zaczął Alberta.

— Od wczoraj.

— Tak, tak, piękna willa...

Albert skłonił się i powiedział majorowej, że wróci dopiero na kolację.

Postanowił zajrzeć do hotelu i zanotać o „Lelaku nocnym”. W drzwiach portierni zmienił zamiar i wszedł do hotelowej kawiarni. Jedyną w całym miasteczku.

Miał do Mikolaja pełne zaufanie. Był pewien, że wykonał rozkaz. Pytał o portiera, który swoim nagłym zniknięciem wzbudził już zapewne niepokój w Powiatowym UBP, znacząco zwrócił na siebie uwagę.

Kawiarnia wyglądała jak pobojowisko. W nocy odbywał się tu dancing, unosił się tylko kilka stolików, na pozostałych walały się przewrócone butelki, na niskim podium leżała sterta krzesel i instrumentów muzycznych.

Albert poprosił o kawę i wodę sodową. Wyjął z teczki brulion o sfatygowanych okładkach i zaczął wertować jego zapisane kartki. Gdyby nie nieco przesadnie elegancki strój — ciemny garnitur, wyczołowana koszula i krawat z wiewiórą szpileczka o główce dobrze imitującej brulion — wyglądałby jak szalony profesor gimnazjum przygotowujący się do wykładu.

Majorowa mówiła prawdę, każda obca twarz budziła podejrzenie. Czterokrotnie, bez żadnej widocznej przyczyny kelnerka przeszczerowała się obok stolika Alberta. Nie ukrywała swego zainteresowania.

— Ladna — stwierdził Albert.

Miał kiedyś podobną do niej przyjaciółkę: w południe piękna jak lalka, wieczorem brzydka, a rano z zapuchniętymi oczami, z grubymi brudami przy ustach — stawała się nie do zniesienia. Czuł się przy niej jak by wciąż oszukiwany.

Zamówił ponownie czarną kawę. Przyniosła, potem zniknęła w bocznych drzwiach. Za chwilę wyszedł stamtąd jakiś mężczyzna w białym kelnerskim kitlu i zapytał Alberta, czy nie jest dziennikarzem z Łodzi. Zaprzeczył ruchem głowy, gniewnie zaciskając wargi. „Jeszcze dziś muszę stąd wyjechać” — postanowił.

Troskliwie przewracał kartki brulionu. Były w nim notatki z opublikowanego przez Merio Casaubona w 1659 roku angielskiego dzieła, którego już pierwsze słowa tytułu brzmiały zaskakująco.

„PRAWDZIWE I WIERNE PRZEDSTAWIENIE TEGO CO ZASŁO MIEDZY DR JANEM DEE, A NIEKTORYMI DUCHAMI, A CO DĄŻYŁO GDYBY SIE BYŁO POWIÓDŁO DO ZMIANY WIEK SZEJ CZESCI KRAJOW I KROESTWA SWIATA”.

Tytuł składał się z kilku długich zdań, a każde z nich zapowiadało nową tajemnicę.

„His private Conference with Rodolphe Emperor of Germany, Stephen, King of Poland and diver other Princes about it. The Particulars of his Cause, as it was agitated in the Emperors Court, By the Pones Intervention: His Banishment in part, as also the letters of Sundry Great Men and Prince (some where of were present at some of these conferences and Apparitions of Spirits to the said Dr Dee”.

Przed tygodniem ze starej księgi Casaubona przetłumaczył i przepisał do brulionu trzy „dialogi”, dr Dee z nawiedzającymi go duchami — opisanie wizyty anioła Uriela, gdy przybył do pracowni mistrza, aby darować mu krzyżształową tarczę. Przez niektóre „dialogi” i „akcje” — jak je Dee nazywał — przebrnął nie miał sposobu. Nieprzetłumaczalny stał się język potęg ziemskich, proroków apokaliptycznych. Język staroangielski mieszał się z zepsutym językiem łacińskim, przetykanym niedomówieniami.

„Może kiedyś znajdę chwilę czasu, żeby solidnie zabrać się do Casaubona” — pomyślał Albert. I równocześnie wspominał, że ma już z sobą dziesiątki podobnych obojętnie. I że to raz postanowił: „gdy skończy się wojna, zacznie robić doktorat z historii. Może właśnie sprawa Olbrachta Łaskiego, Dee i Kelleya, okaże się doskonałym tematem dla przyszłej pracy naukowej?”

Tymczasem jednak wojna zdawała się trwać bez końca...

Zapłacił za kawę i wyszedł z kawiarni. Na następnej ulicy zapytał o adres profesora Ramuza.

— Profesor Ramuz mieszkał w niskim, drewnianym domu...

ku przycupniętym nad wąską, błotnistą uliczką. Rosły tu stare kasztany, wysoki dach lśnił świeżo wysmarowany smołą, wesoło błyszczały w słońcu na zielono pomalowane drzwi i okiennice.

— Profesora nie ma jeszcze w domu. Jest w szkole — oświadczyła mu młoda kobieta, jak pokojówka przyodziana w biały fartuszek.

— W szkole?

— Ojciec jest dyrektorem gimnazjum. Urzęduje w szkole do czwartej.

— Przyjechałem z Warszawy... — wyjaśnił.

Zaprosiła go do domu. Długi, ciemny korytarz dzielący na pół całe domostwo, pachniał czystością, pastą do podłóg. Albert musiał złożyć na buty pantofle, jak w muzeum i poczłapał do gabinetu profesora. „Córeczka tyraniżuje ojca manią czystości” — pomyślał z gniewem.

W ogromnych pantoflach na nogach czuł się jak skazaniec przykut do ciężkich kul. Usiadł na szerokiej staroświeckiej kanapie, nie spuszczaając wzroku ze swych ujarzmionych stóp.

— Nazwisko pani ojca znamie mi jest z pewnej rozprawy naukowej, którą napisał. Przygotowuje pracę o temacie zbliżonym do sprawy poruszonej przez profesora Ramuza. Chciałem zasięgnąć od niego kilku rad i informacji.

— Chodził pewnie o historię Olbrachta Łaskiego?

— Tak... — zawahał się zdziwiony.

Rozesmiała się:

— Nietrudno zgadnąć. Ojciec napisał tylko ledną pracę. O Olbrachcie Łaskim. To było bardzo dawno. Potem pochłonęła go robota w gimnazjum, musiał zrezygnować z kariery naukowej. Pan rozumie: dom, żona, dziecko...

— Zakuto go w takie właśnie miękkie łapcie, prawda? — rzekł niegrzecznie. Nie potrafił oderwać oczu od swych nóg zdeformowanych pantoflami. Wyobrażał sobie, jak bardzo jest komiczny. Ta dziewczyna ośmieszyła go.

Wzbiłała w nim wrogość, chęć opłacenia się za śmieszność.

— Niestety, nie stać nas na gosposię. Od śmierci matki sama zajmuję się całym domem. Zrobiłam te łapcie żeby nie trzeba było co dzień froterować podłóg.

„Rzeczowa, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

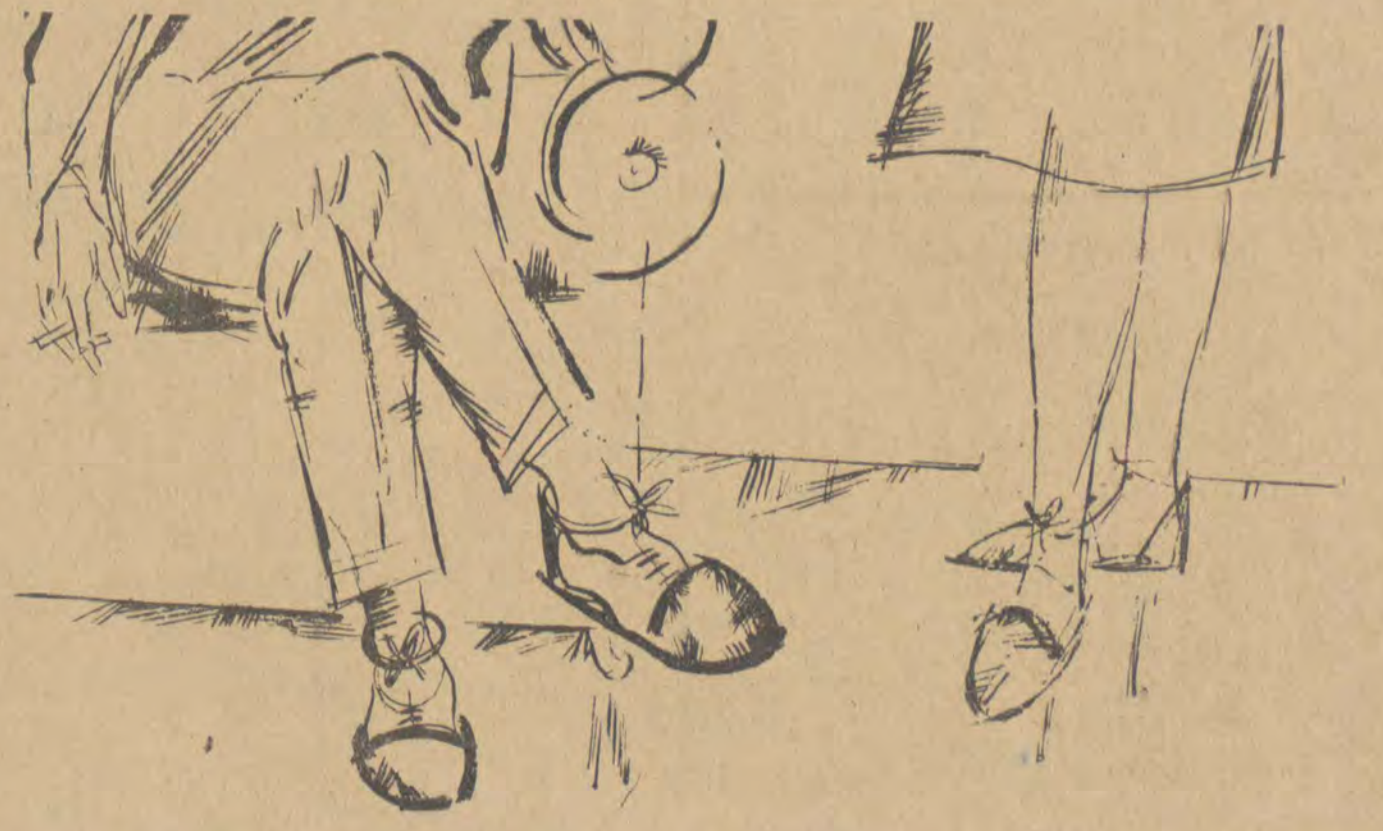
— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”

— Rzeczo, schludna, oszczędna, drobna mieszcanka. Wstaie o świcie, idzie na ranną mszę, potem szykuje śniadanie, wychodzi na targ, gotuje obiad, sprząta. Po południu czyta, ceruje, prasuje, myśli z kim i jak się prześnić, żeby sobie nie zasnąć, opłinił i wyjść kiedyś za mąż w wianku i welonie. Ma narzeczonego w oddziale leśnym. Tęskni, wdycha. Gdy odchodził do lasu założyła mu na piersi rynerał z Małką Boską. Czyta „trylogię”. Dowi się o śmierci narzeczonego, ubierze się w czerni, nigdy nie wyjdzie za mąż...”



ODGŁOSY

tygodnia

Bohaterowie wczesnej jesieni

Pan Cukier

Jego okres bohaterski, kiedy to zaprzął umysły i serca wielkich i małych, rozpoczął się 23 sierpnia, a skończył samotną klęską 13 września anno 1961.

Normalny dzienny popyt na cukier w Łodzi wynosi 65 ton. W dniu 23 ub.m. sprzedano 73 tony, w dniu 26 ub.m. — już 108 ton. Takie dostawy utrzymywały się przez następne 3 dni, ale i to nie wystarczyło, jegośność cukier zniknął z półek sklepowych. W następnych dniach dostawy zmniejszono i rozpoczęto sprzedaż racjonowaną, po jednym kilogramie.

Na zakłócenie handlu cukrem w pierwszym okresie wpłynęła „ożywiona działalność” stosunkowo małej grupy spekulantów i „chomików”. Próbowali oni następnie dezorganizować sprzedaż racjonowaną, obracając z kilogramem po kilka razy dziennie, ale natrafili na opór sprzedawców. W niektórych rejonach miasta, jak na przykład na Bałutach w bloku 10 i 13, komitety blokowe zorganizowały specjalne brygady czuwające nad prawidłowym rozdziałem cukru.

Wreszcie handel zmobilizował wszystkie środki transportu i załaził miasto cukrem. 13 bm. dostarczono do sklepów 339 ton cukru, a żądni słodocy łodzianie zdołali wykupić tylko 154 tony.

Pani Sól

Krytyczny dzień soli nadszedł 25 sierpnia, kiedy to zamiast normalnej porcji dziennej 10 ton, wykupiono jej w Łodzi równo dziesięciokrotnie więcej. Później apetyty zaczęły stopniowo słabnąć. I dla soli 13 września okazał się dniem feralnym — dostarczono jej do sklepów 113 ton, a sprzedano tylko 24.

Trzeba powiedzieć, że bodaj po raz pierwszy w okresie zakłóceń w handlu większość mieszkańców Łodzi wykazała zdumiewająco dużo zdrowego rozsądku. Zarazliwie „chomikarstwo” nie rozprzestrzeniło się. Mimo ruin na cukier, sól i niektóre inne artykuły spożywcze, handel artykułami przemysłowymi wykonał w sierpniu plan w 107 proc. Wręcz ciekawe, skąd w narodzie tyle rozważań...

PKO-bank nie do rozbicia

Pewna ilość łódzkich obywateli pokusiła się ostatnio o „rozbicie banku” PKO. Oto sprawozdanie z placu boju:

W pierwszej dekadzie sierpnia suma wpływów do PKO była wyższa o 1 milion 340 tysięcy zł. od sumy wypłat. W drugiej dekadzie odwrotnie — wypłaty przewyższyły wpływy o 492 tysiące zł. Atak frontalny na Boga ducha winną instytucję przy Al. Kościuszki 12 rozpoczął się jednak dopiero 21 sierpnia. W ciągu jednego dnia wyjęto z kaszeczki o 1.891 tysięcy więcej, niż wyniosły dzienne wpływy.

„Brygady szturmowe” wciąż rosły. 2 września pobrano w PKO aż 10.742 tys. zł więcej niż wpłacono.

Od 2 września rozpoczął się stopniowy odwrót atakujących. Do ostatniego poniedziałku dzienne „manko” w kasach PKO w Łodzi zmalało do 2 milionów zł.

Cała batalia kosztowała wiele nerwów posiadaczy książeczek, którzy ulegli nastrojom paniki, zaś dla PKO oznaczała utratę raptem 10 proc. wkładów. Z książeczek samochodowych, których jest w Łodzi 23 tysiące, zlikwidowano tylko niecały tysiąc czyli poniżej 5 proc.

Rzecz charakterystyczna, na wycofanie swoich wkładów rzucili się nie masowi „drobni ciulacze”, ale raczej „elita”. Znajduje to potwierdzenie w fakcie, że w okresie batalii przeciętna wypłata na jednego pobierającego pieniądze wynosiła od 6 do 7 tys. Wyraźnie widać, kogo było stać na lokowanie oszczędności w soli i cukrze. Stara to prawda, że ilość posiadanych pieniędzy bywa odwrotnie proporcjonalna do ilości rozsądku.

NOCNY RELAKS Z SĄDU

W ZPB im. Marchlewskiego wypowiedziano wojnę utraconym nocnym zmianom. Punktualnie o godz. 1—szej w nocy w jednym z oddziałów produkcyjnych tych zakładów, tj. w zmodernizowanej przedalini — sygnał syreny obwieszcza 15-minutową przerwę w pracy.

Przedki zatrzymują maszyny i w ciszy przez kwadrans odpoczywają, jedzą kolację, słowem korzystają z pełnego relaksu.

Prowadzony od 3 miesięcy eksperyment dał dobre wyniki. Wydajność pracy nie obniżyła się i być może — w niedługim czasie relaksowe nocne przerwy w pracy wprowadzi się i na innych oddziałach produkcyjnych.

REJS DO... CELI

Sternik żegluzi śródlądowej — Raimund Wolf był kierownikiem magazynu części motocyklowych w przedsiębiorstwie „Motobyt”. Jak przystało na prawdziwego wodniaka, Wolf przeżywał za dalekimi rejsami. Ponieważ swoich zamiarów nie mógł pogodzić z obowiązkiem służbowym, zaczął się ze zaryzoty unijać.

Chodził więc chwiejnym krokiem po magazynie, nieczym po pokładzie, jachtu kołysanego wzburzonymi falami jeziora. Dzielny żeglarz „dopłynął” wreszcie do przystani o miłej nazwie „manko 173 tys. zł.”

Niestety, przy bardzo sprzyjającym wietrze dalszy „rejs” znanego nam już sternika zakończył się w celi więziennej.

Na ogólne życzenie
P. T. PUBLICZNOŚCI
(i współpracowników)
niniejszym wznawiamy
zawieszoną na sezon
ogórkowy cotygodniową
kolumnę
NOWOŚCI, SENSACJI
I DZIWNOSTI

POŚREDNIK PILNIE POSZUKIWANY

Sytuacja na łódzkim rynku pracy (w maju 700 a obecnie 200 kobiet bez zawodu poszukujących pracy) oraz rosnące zapotrzebowanie na pomoc domową sugeruje konieczność za legalizowania zawodu pomocy domowej, zrównania go w uprawnieniach społecznych i związkowych z innymi zawodami pracy fizycznej.

Zwłaszcza kobiety w wieku emerytalnym zgłaszają się do Wydziału Zatrudnienia w poszukiwaniu pracy domowej. Nie stety Wydział Zatrudnienia nie prowadzi w tym dziale pośrednictwa i kandydatki chcą nie chcąc skazać się na pomoc wyzyskujących je prywatnych stręczycieli.

Istnieje projekt, aby funkcje pośrednictwa pracy domowej objęła łódzka Spółdzielnia „Czystość”.

WĘDRUJĄCE SPODNIĘ

Wędrował nos, wędrował frak, dlaczegoż by nie miały powędrować spodnie, skłonne do tego z racji dwóch nogawek. Pan S. oddał swe spodnie do ekspresowej pralni przy ul. Piotrkowskiej 116. Gdy w oznaczonym czasie przyszedł po ich odbiór, chciał mu wręczyć podobne, ale całkiem inne spodnie. „To nie moje spodnie, gdzie moje spodnie?” wołał pan S. Okazało się, że spodnie pana S. na skutek nieuwagi personelu pralni przylgnęły do innego ciała i... powędrowały w świat. Zaczął się poszukać za spodniami. Szukał na ich w Szczecinie i okolicach Zamoscia. Aż w końcu gdzieś w Polsce dopadł do nieprawo- witego nosiciela spodni. Nie wiedział czy ściganie ich zeń odbyło się publicznie. Faktem jest, że dzięki energicznemu wysiłkom rzeczowego personelu przerwana ta spodniana Odyseja, doprowadzona do końca. Do pana S. ratując w końcu dobre imię pralni. Pan S. oświadczył jednak, że nigdy więcej nie „wypuści” swoich spodni do pralni, że będzie mocniej trzymać je w garści. W celu lepsze go trzymania kupił sobie nawet szelki.

REKLAMA

W drewnianej chalupce na rogu Limanowskiego i Urzędniczej otwarta niedawno punkt usług meblarskich. Zarząd spółdzielni doszedł również do wniosku, że nieodzownym akcentem plastycznym będzie duża kolorowa reklama na polatym dachu wspomnianej chalupki. Pomysł oczywiście zrealizowano ku uciesze przechodniów.

A niektórzy plastycy narzekają, że projekty reklam muszą zatwierdzać aż trzy komisje. Jak widać można tego uniknąć.

KONIAK TO NIE WÓDKA

W czasie procesu byłego, adwokata Jakuba Taichmana, sąd zapytał jednego ze współoskarżonych, czy ten pił z oskarżonym wódkę. Załagadowany ka tegorocznie zaprzeczył.

W śledztwie oskarżony zeznał inaczej — przypomniał sędziemu.

— Możliwe, ale wódki nie piłem.

— A co?

— Konjak, proszę sądu. Ja wódki nie lubię.

W tym momencie nawet i prokurator nie próbował ukryć śmiechu.

TYM RAZEM SIĘ UDAŁO

Rozprawa przed Sądem Powiatowym dla m. Łodzi, Staszki już wiekiem Jan S. nie przyznaje się do kradzieży kilku królików. Świadkowie nie są sobie nie przypominają.

Po naradzie sędzi (kobieta) z braku dowodów winy ogłasza uniewinnienie oskarżonego. Jan S. słucha ze spokojem. Gdy se dzia kończy, podbiega do stołu sędziowskiego, podnosi dwa palce i oświadcza:

— Słowo honoru, ale więcej to już naprawdę nie będę kradł.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. Anatol Kobylński

Już „starożytni” Polacy uprawiali rzemiosło w Sieradzu. Bulla Gnieźnieńska z XII wieku, wspomina, że Sieradz składał duning z żelaza — a więc musiel „działać” kowale. Nic zresztą dziwnego, ówczesny Sieradz był stolicą kasztelanii. Jak do każdej stolicy, ciągnęli doń podróżnicy. Jeden, szczególnie sympatyczny, arabski wędrowiec Al Idrisi, porównuje nawet XII-wieczny Sieradz z Krakowem, Gnieznem i Wrocławiem.

Sieradzkie „rzemiochy” w mieście Al Idrisi, porównuje nawet XII-wieczny Sieradz z Krakowem, Gnieznem i Wrocławiem. Sieradzkie „rzemiochy” w mieście Al Idrisi, porównuje nawet XII-wieczny Sieradz z Krakowem, Gnieznem i Wrocławiem.

barkach spoczywała, obrona 2600.. łokci murów. Szczęt wszystkich — czyli największy rozwój w sieradzkim rzemiośle przypada na XV. XVI wiek. Potem, z 9 sukienników i 6 kowali nie ocalał ani jeden. Dopiero koniec XVIII wie-

ku jest bardziej przychylny — w Sieradzu działa 80 mistrzów sztuki rękodzielniczej...

Zjazd z myśką

radzkim rzemiośle przypada na XV. XVI wiek. Potem, z 9 sukienników i 6 kowali nie ocalał ani jeden. Dopiero koniec XVIII wie-

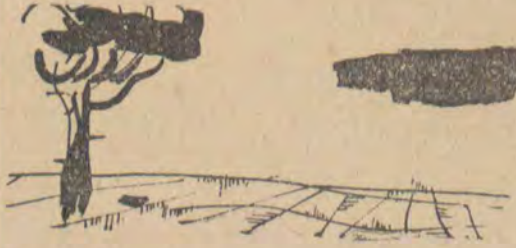
Fotożniwo

Skończyły się wakacje, skończyły się urlopy, tysiące ludzi wraca do miasta. Wielu wraca z pełnymi kasetami niewywołanych jeszcze zdjęć. W zakładach fotograficznych dopiero teraz rozpoczynają się żniwa.

Jak nas poinformowali kierownicy fotograficznych punktów usługowych w miesiącach sierpniu i wrześniu nigdy nie „na kłopotu” ze zrealizowaniem planu obrotów. A plan ów to nie bagatelka, bo waha się gdzieś w granicach 24—26 tysięcy zł miesięcznie.

Mimo nie najlepszej pogody tego lata ruch w punktach usługowych nie jest ani odrobinę mniejszy niż przed rokiem. Zakłady realizują dziennie około 30 zamówień, co stanowi liczbę dość wysoką (ponad 300 pozytywow) jeśli założymy, że jeden klient oddaje do obróbki tylko jeden film małoobrazkowy.

W fotograficznym żniwie niemały udział ma również młodzież szkolna i akademicka. Nowy rok szkolny, nowe legitymacje, a zatem... zdjęcia legitymacyjne. W jednym tylko zakładzie przy ul. Obrońców Stalingradu dziennie pstryka się około 120 samych „paszportówek”.



Tłumacze

Na bramie domu przy ul. Piotrkowskiej nr 83 widnieje następujący szyldzik: „Zespół Tłumaczy Przysięgłych nr 2”. Tutaj właśnie ośmiu miłych panów i jedna pani tłumaczą najprzeróżniejsze dokumenty. Jak się dowiedzieliśmy, gros tłumaczy stanowią wszelkiego rodzaju akty prawne: świadectwa zgonu, urodzenia, zawarcia związku małżeńskiego itp. W tej grupie przeważają dokumenty w języku niemieckim i rosyjskim.

Następna mniej liczna grupa stanowią dyplomy zagranicznych uczelni. Tu dominuje język angielski i rosyjski. No i wreszcie trzecia grupa — listy zapraszające w odwiedzinę za granicę. Ponieważ są pisane często w języku obcym, trzeba je tłumaczyć, bo tego wymagają przepisy.

Podobno jednak najwięcej kłopotu i pracy sprawiają tłumaczenia dokumentacji technicznych do różnego rodzaju maszyn i aparatów. Wykonywane na zamówienie niektórych zakładów pracy.

Jak się rzekło w II Zespole Tłumaczy Przysięgłych pracuje 9 osób. Te dziewięć osób tłumaczy szybko i dokładnie z rosyjskiego, ukraińskiego, białoruskiego, litewskiego, niemieckiego, angielskiego, francuskiego, włoskiego, szwedzkiego, norweskiego, duńskiego, holenderskiego, słowackiego, czeskiego, rumuńskiego, węgierskiego, hiszpańskiego, portugalskiego... uff!